

CZAROWIEK W POLSCE

Cena egz. 60 gr.

Przenumerata
kwartalnie
w kraju zł. 3.—
za granicą zł. 4.—

Wydawana za darmo
1 mm. w tekście zł. 1.—
za tekstem 60 gr.

Redakcja
i Administracja
Warszawa,
Grójecka 45 m. 15
Telefon 9-40-17
Konto P. K. O. 23.309

Redaktor przyjmuje
płać od 6 — 3 Dug.

Wychodzi dwa razy w miesiącu

TREŚĆ NUMERU: * — Rezolucje gospodarcze Partji Pracy. — Stanisław Momentowicz: Finansowanie wielkich robót na złoty polski i budżet państwa. — Hipolit Gliwic: Ceterum censeo. — A. Plutyński: Wielkie roboty podstawą do walki z kryzysem. — Zagadnienie przyrostu naturalnego w Polsce. — Zdarzenia i uwagi. — Dyskusja: O godność i sprawiedliwość. — Młodzież bez opieki. — A. Uziembło: Wnioski ze wspomnień. — Pierwsze próby. — Zatrudnienie. — Tu, felix Austria. — Wydawnictwa.

Początek maja — to dwa święta. Święto pracy, święto tych, co mierzą w jutro obchodzą się pierrwzego maja. Obchodzą je socjaliści i komuniści, obchodzą je uroczystością z całą pompą militarną rządzą Sowietów i Niemiec, obchodzą niejednokrotnie protestami jedni przeciwko drugim w tej myśli, że do ich koncepcji należy ziszczenie sprawiedliwości społecznej. Dziś nie jest to już święto partyjne — bynajmniej. To święto tych wszytskich, którzy zdają sobie sprawę z faktu, iż „porządek stary już się wali” i że zawałanie się tego porządku nie różni zgonu ludzkości, lecz przeobrażenie się ustroju całego zgodnie z interesami tej całej niesłychanej masy pogwałconych, tych wszytskich wydziedziczonych już nie tylko z własności — nie tylko z narzędzi twórczości, ale z możliwości pracy, z tego ostatecznego ratunku człowieka nieposiadającego, jakim jest możliwość sprzedaży swojej siły roboczej.

Na ulice wylega proletarijat zorganizowany. Pozostają w domu liczniejsze jeszcze rzesze tych, do których organizacja nie dotarła i bodaj czy kiedykolwiek dotrze; tych, którzy stracili wiarę w skuteczność jakiegokolwiek manifestacji, którzy stanowią bierną, straszliwie bierną masę.

I warto w tym dniu pomyśleć, czy ta bezradziejna bierność ich nie jest dla naszego życia stokrót groźniejsza, niż śpiew „Międzynarodówki” lub „Czerwonego Sztandaru”? Boć ta apatia — to rezygnacja z samego udziału w życiu.

A dzień trzeci maja? Święto Państwowe... A przeciw wspomnieniu tego dnia z przeszłości bynajmniej nie budzi jasnych refleksji. Może kiedyś w czasach nierówności kiedyś mogli najwyżej manifestować — wyrażało się to czasem w rodzaju prze-

żenia, zmyststwa szczerzej uczciwej myśli nad hasłą szlachecką. Odruchem rewolucyjnym, który poszukując ratunku Rzeczypospolitej przeszedł do porządku dziennego nad zgnilą legalnością w służebnym zrozumieniu, że prawo jest dla życia a nie odwrotnie. I naród nie zdobył się na obronę tego odruchu.

Święcimy trzeci maja. Ale nie stać nas na pochwałę dla tamtych czasów.

Jako dziwnie fałszywie brzmi ona radosna piosenka o dniu trzeciego maja.

Gdy senat i posły w ratuszowej sali,
Zgodzonego z narodem króla fetowali,
Gdy przy tańcu śpiewano: „Vivat król kochany,
Vivat sejm! vivat wszytskie stany!”

Prędko zerwała się struna ja wygrzywająca. Zbyt miło twórcóm owej fety znalazło się w szeregiach tych, co wszytskie piękne poczynania burzili.

Rakieta naprawy Rzeczypospolitej wzleciała wysoko — i zgasła, gdyż była tylko rakieta.

Wspominając to święto twierdzimy, że przeżyłamy obecnie epokę, która może w tamte czasy spoglądać z surową pobłażliwością — wydała bowiem większych ludzi i większe charaktery i większe moce wydobyci zdolna. Przeżyłamy epokę nie klęską, ale zmyststwem, zrodzonego z nateżenia, własnych sił i własnego geniuszu.

Do wydobycia tych sił dała nam sposobność wielka zamierucha dziejowa. Ale te narody, które w czasie niej nie zdobyły się na to, co my — nie powstały z martwych.

Jeżeli chodzi o nas — to początek maja czynimy pojmującą znaczną część dzisiejszego numeru zagadnieniu naprawy sytuacji gospodarczej — naprawy sytuacji społecznej.

REZOLUCJE GOSPODARCZE

ORGANIZACJI M. ST. WARSZAWY PARTJI PRACY (B. B. W. R.)

(zgłoszone na tegoroczny Kongres Partji Pracy).

Rezolucja I.

O POPRAWIE BYTU ROLNIKÓW.

Rolnicy polscy, stanowiący ponad 60% ludności Państwa pracują w ostatnim trzecieciu ze stratą. Wszystkie kredytowe i gotówkowe rezerwy rolnictwa już zostały wyczerpane. Stan ten grozi dalszym zanikiem zbytu wyrobów rzemiosła i prze mysłu; stratą kapitału i procentów od kredytów, udzielonych rolnictwu w sumie przeszło cztery i pół miljarda złotych; spadkiem dochodów Skarbu Państwa, a w dalszych następstwach również upadkiem produkcji rolniczej i deficytem żywnościowym Państwa.

Partja Pracy wyraża przekonanie, że, przy dzisiejszym stanie rolnictwa w Polsce, obniżka cen przemysłowych i pomoc kredytowa nie są w stanie rozwiązać zagadnienia bytu rolników i obecnie pozostaje zastosowanie takiej polityki gospodarczej, która w konsekwencji doprowadziłaby do podniesienia cen płodów rolnych.

Podniesienie cen płodów rolnych do wysokości zapewniającej konieczną i godziwą rentowność warsztatów rolnych nastąpić winno nie przez premjowanie eksportu, a przez wzmoczenie wewnętrznego spożycia, które powstanie automatycznie, jako skutek realizacji Wielkich Robót Publicznych.

Z uwagi na powyższe Partja Pracy uznaje za naczelny, postulat gospodarstwa narodowego uruchomienie robót publicznych w takim rozmiarze, aby wskutek zwiększonej przez nie bezpośrednio intensywności pracy obywateli, spożycie płodów rolnych w Państwie odpowiednio się zwiększyło.

Rezolucja II.

O WIELKICH ROBOTACH PUBLICZNYCH.

Spadek natężenia pracy obywateli w Polsce, wyrażający się nie tylko oficjalnie rejestrowanym bezrobociem, lecz przedewszystkiem bardzo znacznym obniżeniem się sił wytwórczych wsi, ośrodków przemysłowych i miast, stawia Państwo Polskie pod względem wytwórczości na jednym z ostatnich miejsc w rzędzie krajów europejskich.

Racjonalnym i skutecznym sposobem zwiększenia zatrudnienia w Państwie jest uruchomienie wielkich robót inwestycyjnych, mających na celu nie tylko wzmoczenie zanikających dziś najprzewodniejszych potrzeb konsumcyjnych ludności, lecz przedewszystkiem trwale spotęgowanie wydajności i rentowności pracy w Polsce.

Partja Pracy opracowała ogólny zarys Wielkich Robót Publicznych, obliczonych na okres lat dziesięciu, w takich rozmiarach, aby przezwyciężyć w Polsce bezrobocie, pochłaniające nieprodukcyjne fundusze publiczne.

Rezolucja III.

O ŚRODKACH KREDYTOWYCH NA WYKONANIE WIELKICH ROBÓT PUBLICZNYCH.

Wielkie Roboty Publiczne wykonane być winny — i nie temu na przeszkodzie nie stoi — w ca-

łości pracą mózgów i rąk polskich i z materiałów krajowych przy pomocy kredytu wewnętrznego.

O ile całość programu robót publicznych celowo odpowiadać będzie realnym potrzebom kraju o ile roboty te wykonane zostaną naszą pracą i z materiałów krajowych, o ile przy ich planowaniu zastosowane będą naukowe zasady techniki i kalkulacji, a przy wykonaniu przestrzegane zostaną normy racjonalnej organizacji pracy, to użyte na roboty publiczne środki kredytowe powrócą do kas publicznych jako nadwyżki dochodów w postaci:

- a) dochodów z wykonanych inwestycji,
- b) nadwyżek wpływów publicznych spowodowanych zwiększeniem produkcji i konsumcji oraz obrotów handlowych,
- c) nadwyżek wpływów publicznych spowodowanych wzmocnionym wyzyskaniem możliwości przyrodzonych kraju,
- d) oszczędności na wypłatach zasiłków dla bezrobotnych,
- e) dochodów od wzmocnienia kapitalizacji społecznej przez uruchomienie większej masy pracy obywateli.

Równowaga nadzwyczajnych wydatków i nadzwyczajnych wpływów nie może być zachwiana, o ile plan ożywienia gospodarczego drogą wielkich robót publicznych jest tak ułożony — by cykl kredytowy w określonym czasie nie zamknął, to znaczy aby kredyty, użyte na uruchomienie pracy polskiej, wpłynęły z powrotem do kas skarbowych w przewidzianym terminie.

Wielkie Roboty Publiczne planowane przez Partję Pracy, wymagają nie mniej niż 800 milionów złotych rocznie.

Partja Pracy uważa, że Państwo ma wielkie resursy w kredycie wewnętrznym pod warunkiem, aby kredyt ten użyty został wyłącznie na potrzeby produkcyjne i aby kredytujący Państwo obywatele otrzymali zawsze za udzielony Państwu kredyt więcej niż 100 za 100, a nie mniej. O ile przekraczający rozsądną miarę kredyt konsumpcyjny prowadzi nieuchronnie do inflacji i załamania się waluty, o tyle wewnętrzny kredyt produkcyjny z racjonalnym planem amortyzacji jest podstawą, na której budowały swą wielkość wszystkie nowożytnie państwa świata.

Partja Pracy uważa, że Rząd Polski materialnie i moralnie uprawniony jest do korzystania ze zdrowego kredytu wewnętrznego. Mając do wyboru załamanie się wypłacalności podatkowej i kredytowej rolnictwa, odpisanie zaległych podatków, dalsze bezrobocie i redukcje urzędnicze, dalsze oszczędności na budżecie wojska i resortów cywilnych — z jednej strony, a uruchomienie kredytów na roboty publiczne — z drugiej, Partja Pracy, w poczuciu odpowiedzialności za przyszłość, decyduje się zalecać uruchomienie wielkich robót, jako początek wyjścia z obecnej kryzysowej sytuacji i podwalinę lepszej przyszłości.

Rezolucja IV.

O STWORZENIE MINISTERSTWA
GOSPODARSTWA NARODOWEGO.

Partja Pracy uważa jako zasadniczą konieczność państwową powołania do życia Ministerstwa Gospodarstwa Narodowego, którego głównym zadaniem będzie centralizowanie i harmonizowanie wysiłków Rządu i społeczeństwa w kierunku podniesienia gospodarczej siły Państwa. Ministerstwo Gospodarstwa Narodowego powinno wchłoniąć szereg istniejących ministerstw i urzędów charakteru gospodarczego, usprawniając administrację.

Hipolit Gliwiec, Stanisław Momentowicz, Antoni Plutyński, Tytus Filipowicz, Władysław Rogorowski, Ludwik Darowski, Władysław Sobotta, Leon Barysz, Stanisław Rachwał, Tadeusz Urbański, Władysław Gruszczyński, Zygmunt Woynicz - Sianożęcki, Tadeusz Basirski, Mieczysław Myśliński, Adolf Inatowicz - Lubiński, Leon Lempke, Bohdan Herbert - Heybortowicz, Michał Wyrostek, Bogumił Hummel, Aleksander Dąbrowski, Stanisław Krzyżkowski, Jan Odechowski, Zygmunt Ryteł, Jan Alfons Kimaczyński, Stefanja Wojasiewiczówna, Władysław Ludwik Ebert, Wojciech Zatrornicki, Zygmunt Karczewski, Roman Petschl, Kazimierz Malcolm - Morris.

Finansowanie wielkich robót a złoty polski i budżet państwa

Niemą potrzeby kruszyć kopii o aktualność i konieczność ożywienia życia gospodarczego, jak również powłokiem jest, że spotęgowanie pracy, które wywołą musi wzrost konsumpcji, jest głównym tego ożywienia warunkiem. Spotęgowanie pracy musi być wywołane:

1) we właściwym tempie, 2) we właściwej skali, 3) według planu, wykluczającego najmniejsze nawet marnowanie środków.

Wskutek zachwiania się w ostatnich latach całego szeregu instytucji finansowych zagranicą, oraz spadku funta angielskiego, a później i dolara amerykańskiego, zostały wycofane z obiegu naszego życia gospodarczego i odpłynęły zagranicę bardzo poważne kapitały. Obieg banknotów naszej Instytucji Emisyjnej nie tylko nie zapelniał luki, lecz przeciwnie, w tymże okresie czasu Bank Polski skurczył obieg własnych banknotów. Poza tem z racji niewypłacalności całego szeregu najzasobniejszych przedsiębiorstw i osób prywatnych, weksel przestał odgrywać dominującą rolę w obrocie towarowym, a w obiegu finansowym utracił znaczenie: obrót czekowy spadł do minimum. Brak środków obiegowych (banknotów, weksli, czeków i t. p.), jaki odczuwa się na rynku naszym, utrudnia obroty gospodarcze i wymianę wśród społeczeństwa wartości rzeczowych, co w konsekwencji powoduje zwolnienie tempa życia gospodarczego, pośrednio demobilizując pracę w Polsce w tym stopniu, że wywołą to musi niepokój i troskę o naszą samodzielność gospodarczą.

Przy dzisiejszej koniunkturze planowanie bezpośredniego ożywienia prywatnego obrotu wekslowego, bądź czekowego byłoby pracą szczy-

fową. Rolnictwo i przemysł nie posiadają ani własnych, dostatecznych środków obrotowych, ani kredytów dla ożywienia życia gospodarczego. Musi dostarczyć te środki Państwo, które ma wielkie możliwości kredytu wewnętrznego przy zachowaniu trzech warunków:

1) stuprocentowego honorowania zobowiązań państwowych we wzajemnych rozrachunkach ze społeczeństwem,

2) zużycia kredytu wewnętrznego wyłącznie na rentujące i odpowiadające realnym potrzebom kraju inwestycje, wykonane pracą polską i z materiałów krajowych,

3) zachowanie zamkniętego cyklu kredytowego przy planowaniu środków obrotowych dla ożywienia gospodarki krajowej.

Trzeci warunek jest podstawą, gwarantującą nie naruszenie równowagi budżetu Państwa przy realizacji wielkich robót, tembardziej, że przy wykonaniu robót wzrosną w kraju zarobki, co w konsekwencji uaktywni spłatę zaległości podatkowych. Warunek drugi pozwala nam spokojnie ominąć rałę bilansów handlowego i płatniczego. Istotnie, przy ożywieniu życia gospodarczego za pomocą kredytu wewnętrznego, pracą mózgów i rąk polskich i przy użyciu wyłącznie krajowego materiału, plan nasz w niczem nie może bezpośrednio naruszyć równowagi naszego bilansu handlowego i płatniczego. Przeciwnie, budząc tętno życia gospodarczego, podniesie zapotrzebowanie w przemyśle naszym, wzmocni jego produkcję, a co zatem idzie obniży koszty fabrykacji i zwiększy zdolność konkurencyjną naszych przetwórci, a więc stworzy sprzyjające warunki dla eksportu gotowych towarów.

Oczywiście, ożywienie gospodarcze spowoduje z jednej strony wzmoczoną konsumpcję towarów przez nas eksportowanych, z drugiej strony także konsumpcję towarów przywożonych. Z łatwością jednak nasz bilans handlowy obronimy, skoro dziś ma on charakter czynny, a ożywienie konsumpcji w dziedzinie przywozu dotyczyłoby w tym wypadku raczej importu luksusowego, gdzie restrykcje nie są uciążliwe. Poza tem stopniowy wzrost cen, jaki przy ożywieniu konsumpcji nastąpi, zmusi Rząd do podniesienia płac urzędniczych i sum na wydatki rzeczowe w budżecie: ale Państwo, którego dochody rosną, jest w zupełnie innem położeniu, niż państwo, gdzie dochody maleją i kurczą się, a obywatel i urzędnik zajęci są niemal wyłącznie ciągłym zaciskaniem pasa. Rozwiązanie tych zagadnień przy rosnących dochodach nie przedstawia trudności, zwłaszcza, że znaczna część zarobków społeczeństwa zostanie skapitalizowana w postaci wkładów oszczędnościowych w P. K. O., Kasach Komunalnych i w bankach prywatnych, które ze swej strony muszą lokować część wkładów w normalnych pożyczkach państwowych. Kapitałizacja pracy, wytwarzającej wartości rzeczowe, najlepszą legitymację pieniądza.

Co zaś do realizacji projektu w jego części dotyczącej techniki sięgnięcia po kredyty wewnętrzne, historia, a szczególnie historia nowszych czasów podaje szereg różnych sposobów rozwiązania. Partja Pracy opracowała szczegółowy plan, uwzględniający przede wszystkim nasze warunki

i koniunkturę obecną, lecz nie jest zadaniem tego artykułu drobiazgowe rozmyślanie na ten temat, wymagający debaty w ścisłym i fachowym gronie, a enuncjacje na zbyt szerokim forum, ze względu na specjalny charakter zagadnienia, mogą przynieść więcej szkody niż korzyści; więc niewskazaniem jest przez publikację wczesne komplikować i utrudniać sprawę czynnikom rządzącym, do których należy decyzja i rozwiązywanie problemu. Naszym celem jest tylko rzucenie myśli zasadniczych o podstawach projektu oraz ich umotywowanie.

Wielkie Roboty Publiczne są fundamentem programu ożywienia naszego życia gospodarczego, jednak go nie wyczerpują. Mamy szereg kapitałowych i domagających się rozwiązania zagadnień gospodarczych, jak — przytoczę dla przykładu:

1) zagadnienie nostyfikacji obcych przemysłów w Polsce;

2) uszlachetnienie wywozu polskiego, zmierzającego do większego eksportu pracy polskiej w postaci gotowych wyrobów zamiast surowców i ludzi;

3) planową przebudowę przemysłu i wiejskiego gospodarstwa celem doprowadzenia do większej równowagi społecznej i podniesienia wydajności pracy polskiej.

Wszystkie te dalsze reformy możliwe są tylko po opanowaniu obecnej skrajnej demobilizacji pracy polskiej — dlatego to jest początkiem programu gospodarczego.

Podkreślić należy, że jakkolwiek plan przewiduje wszystkie nieprzychylnie możliwości i pomysły je przechwycić, to jednak dominującym warunkiem przy jego realizacji jest:

1) zachowanie jednolitości decyzji i organizacji, 2) przestrzeganie zasady celowości i rentowności inwestycji, 3) harmonijne objęcie nimi całokształtu życia gospodarczego.

Osiągnąć to można jedynie przez ześrodkowanie wszystkich w dziedzinie gospodarczej wysiłków Rządu i społeczeństwa, do czego aparatem właściwszym, zdaniem Partii Pracy, byłoby Ministerstwo Gospodarstwa Narodowego, stworzenie którego pozatem z jednej strony obniży koszty naszej administracji przez skasowanie zbędnych urzędów, z drugiej — usprawni, ułatwi i udoskonalą ster naszą polityką gospodarczą.

Matm przeświadczenie, że społeczeństwo nasze doceni wagę i aktualność celowych inwestycji dla gospodarstwa narodowego i ludzkiej całokształtowej poparcia planowi Wielkich Robót: planowi, który, zachowując równowagę budżetu Państwa, nie naruszając czynnego charakteru bilansu handlowego, nie powodując utrudnień w bilansie płatniczym, bez inflacji, jedynie na zdrowej zasadzie właściwego uruchomienia kredytu wewnętrznego oparty, daje racjonalny i skuteczny sposób zwalczania bezrobocia, depresji moralnej i kryzysu w naszej Ojczyźnie.

Stanisław Momentowicz.

CETERUM CENSEO

Gdy w ciałach ustawodawczych w biegu jest załatwienie zasadniczych zmian w Konstytucji, nie od rzeczy będzie zastanowić się nad zagadnieniem usprawnienia organów administracyjnych i lepsze-

go ich przystosowania do potrzeb realnych. Pewnikiem jest, iż aparat do sprawowania rządu winien być skondensowany, uelastyczniony, sprężysty. Wyklucza to ciężką machinę licznego gabinetu Ministrów i zmusza do ograniczenia tek do możliwego minimum. Przy reżimie "parlamentarnym, zwłaszcza w okresie gabinetów koalicyjnych, nadmierne rozdrobnienie ciała rządzącego na liczne ministerstwa, często dyktowane jest nietyłe troską o skuteczną administrację i dobro państwa, co względami zupełnie innej natury, opartymi na układach międzypartyjnych, a nawet na smutnej konieczności zadośćuczynienia płytkim ambicjom rozlicznych parlamentarnych działaczy, nierzadko nawet „działaczy” w cudzysłowie.

To też sądzę, że w swoim projekcie gospodarczej enuncjacji Partia Pracy udatnie wybrała moment proklamowania sprawy stworzenia Ministerstwa Gospodarstwa Narodowego.

Jest to temat, którym niżej podpisany zajmuję się od maja 1926 r., kiedy w wywiadzie prasowym oświadczył: „By kraj nasz stać się mógł gospodarczo mocnym, koniecznym jest szarmonizowanie interesów wytwórczości fabrycznej i produkcji rolniej, koniecznym jest przeto zrównoważenie pomocy finansowej dla tych dwóch rodzajów działalności gospodarczych. Powyższe prowadzi logicznie do skoncentrowania wszystkich spraw natury gospodarczej, jak przemysłowo-handlowych, rolnych, tak i finansowo-bankowych, pod jedną sprężystą egidą”. Temu przekonaniu wyraz dawałem później w wystąpieniach parlamentarnych (mowy budżetowe w Senacie 8-go marca 1929 r. i 7-go marca 1930 roku) i w prasie (np. „Czas” z 4 kwietnia 1931 r.).

Zagadnienie to po dzisiejszy dzień nie straciło na aktualności, przeciwnie, obecnie staje się wprost palącym: na porządku bowiem stoi i na szybkie kateryczne rozwiązanie czeka sprawa największej wagi — sprawa zorganizowania pracy w Polsce, sprawa wzmocnienia tej pracy i nadania jej odpowiedniego kierunku; sprawa wyekwipowania naszego kraju w instalacje najnowsze, w aparaty najsprawniejsze, w maszynę najwydatniejszą.

Sprawa uprzemysłowienia Polski, jeszcze doniedawna rozmaicie przez różnych ekonomistów, działaczy, polityków, a nawet mężów stanu rozstrzygana, obecnie znajduje jedno rozwiązanie przez ogół jako pewnik traktowane; truizmem się stało twierdzenie, że jest to jedyny sposób umożliwienia egzystencji przrrostowi ludności naszej. Z drugiej jednak strony ciężkie doświadczenie wielkiej wojny i bardziej jeszcze dokliwe następstwa chaosu powojennego wykazują wyraźnie, że ostatek może w przyszłości tylko ta potencja, której rolnictwo jest dostatecznie rozwinięte. Znalezione równowagi staicznej pomiędzy dwiema kategoriami pracy ludzkiej — przemysłem a rolnictwem stanowi wszędzie, nie tylko u nas, troskę podstawową odpowiedzialnych czynników rządzących, tembardziej dokuczliwą, że cała działalność gospodarza świata odbywa się w atmosferze wyprowadzonego z równowagi obiegu pieniężnego oraz kretydowych stosunków, zachwianych w swych najistotniejszych bazach. Czasy, kiedy można było

rozmaite strony gospodarki narodowej rozwijać jednocześnie, lecz niezależnie jedną od drugiej; czas, kiedy można było dopuścić do wścigę pomiędzy różnymi resortami gospodarczymi, minęły i, sądząc, minęły na długo. Pod presją skurczonych możliwości zaleca się teraz gospodarkę ekonomiczną, ogólną i wyrachowaną. Środki, nadwyższone przez chaotyczne wojenne i powojenne stosunki, nie pozwalają na politykę ekspansywną, na przetrwanie jednego działu gospodarki ponad drugi, na rozwój jednostronny. Wszelka niecelowa, nieskoordynowana, nieplanowa polityka gospodarcza staje się obecnie polityką rabunkową. Skromne, w porównaniu do ogromu potrzeb, możliwości świata powojennego wymagają przedewszystkiem działalności planowej, pewnej stopniowości, ścisłej kołejności.

Jeżeli rzecz tak się przedstawia w aspekcie światowym, jeżeli to, co powiedziałem, dotyczy wielkich mocarstw o potężnym potencjale gospodarczym, to cóż dopiero sądzić należy o nas, którzy po latach niewoli stawiamy pierwsze kroki w dziedzinie samodzielnego włodarzenia u siebie.

Jeszcze przed majem 1926 r. uznano, że nadmierna decentralizacja resortów gospodarczych może wywołać szkodliwą dla organizmu Państwa jednostronność rozwoju życia ekonomicznego w Polsce. Rozwiązano jednak ten problem z cechującą przedmajowe czasy niezdecydowaną półowicznością. W 1923 r. został stworzony Komitet Ekonomiczny Ministerstw, zadaniem którego było nietyle skoordynowanie działalności poszczególnych samodzielnich urzędów, co raczej odciążenie Rady Ministrów od spraw, nie w jednakowym stopniu wszystkie resorty interesujących.

Jak już we wspomnianym poprzednio artykule moim wskazałem, Komitet Ekonomiczny właściwie żadnego prawa inicjatywy nie posiada, nie jest on władny przystąpić do budowy zrębów ogólnej polityki gospodarczej, ma ograniczone i skromne zadanie stawiania na porządek dzienny tej czy innej sprawy, nietylko przez odpowiednie Ministerstwo podanej, ale przeważnie przez to Ministerstwo zainicjowanej i szczegółowo opracowanej. W ten sposób Komitet Ekonomiczny stwarza właściwie surogat związku pomiędzy poszczególnymi resortami gospodarczymi i powoduje pewien mechaniczny raczej, a nie organiczny kontakt pomiędzy nimi, dając często, zupełnie niezależnie od najlepszych chęci wszystkich uczestników, tylko iluzję współpracy. Przeprowadzenie tej czy innej akcji, przedsięwzięcie tych czy innych kroków, zaprojektowanie tej czy innej noweli prawa, zainicjowanie tego czy innego rozporządzenia — często zależy od indywidualnych walorów dziś tego, jutro innego, pojutrze trzeciego członka Komitetu, z których każdy uosabia inny urząd.

Czy wolno pozostawić na fluktuach przypadkowości żywojne sprawy Państwa? Czyż może być jakkolwiek wątpliwość, że taki luźny zespół jak Komitet Ekonomiczny, nigdy nie będzie w stanie sformułować ogólnego planu gospodarczego, ustalić zasad podstawowych naszej polityki gospodarczej i z żelazną konsekwencją przeprowadzać je w życiu codziennym? Nie drogą mechanicznego zetknięcia lecz jedynie przez organiczne połączenie może

być urzeczywistniona ścisła, solidarna, celowa i skuteczna kollaboracja resortów gospodarczych.

Jakież są kardynalne zadania Rządu, w dziedzinie gospodarki? Odpowiedź na to jest łatwa i nie wymaga długiego namysłu. Węć przedewszystkiem każdy zwarty rząd winien sobie ustalić pewną ogólną linię polityki ekonomicznej, stworzyć określony plan gospodarczy, wytknąć etapy tego planu i, co jest najważniejsze, przeprowadzić, t. j. kierować wszystkimi czynnościami administracyjnymi, związanymi z owym planem. Poza tem Rząd winien wyjaśnić źródła dochodów, dostarczać środki, oraz dzielić je odpowiednio, by zaspokoić wszystkie wytyczone potrzeby państwowej natury. Wreszcie na barach Rządu leży troska o ekwipunek techniczny kraju w tych dziedzinach, które, jak środki i drogi komunikacji naprztykład, usuwają się z pod działalności prywatno-gospodarczej. Czynności, wymagających pewnej kolejności w ustalaniu, skoncentrowanych wysiłków w przeprowadzaniu i niezłomnej energii w wykonaniu, nie wolno pozostawiać deliberacjom najlepiej nawet zorganizowanego, najodpowiedniej dobranego Komitetu, który może radzić, ale nie jest w stanie przypilnować wykonania, nie ma autorytetu sankcji i, przy najwspanialszym nawet składzie osobowym, jest zgóry skazany na bezpłodność wprost dlatego, że jest ciężkiem ciałem zbiorowem.

Chodzi o zesrodkowana egzekutywę.

Ale z drugiej strony, dla uniknięcia zbyt wielkiego i niegrabnego aparatu niepodobna wszystkie sprawy i funkcje gospodarcze stłoczyć w jednym urzędzie; wskazaniem więc jest podzielić je pomiędzy dwa Ministerstwa. Jedno byłoby dysponentem majątku Państwa, jako całości, drugie zaś kierowałoby polityką gospodarczą tego państwa, jako zespołu ogółu obywateli. Pierwsze Ministerstwo jest niczem innem, jak zreorganizowanemu Ministerstwu Skarbu, drugie powinno otrzymać nazwę właściwego Ministerstwa Gospodarstwa Narodowego. W pierwszym skoncentrowany byłby zarząd dochodów państwowych, repartycja środków, monopole i przedsiębiorstwa państwowe, za wyjątkiem zakładów pracujących na obronę, które siłą rzeczy powinny zostać w Ministerstwie Spraw Wojskowych. W skład Ministerstwa Gospodarstwa Narodowego weszłyby zasadniczo: całe Ministerstwo Przemysłu i Handlu, Rolnictwa, Opieki Społecznej, oraz z Ministerstwa Skarbu finansowe działy, zwłaszcza Departament Obiegu Pieniężnego.

Ścisłe rozgraniczenie kompetencji tych dwóch projektowanych resortów wymaga szczegółowego zbadania całej mechaniki egzystujących aparatów ministerjalnych, ich działalności i sfer zainteresowania. Szczegółowy projekt wychodzi daleko poza ramy artykułu prasowego. Celem naszym jest tylko rzucenie myśli, oraz najlżejsze naszkicowanie konturów. Jedyne na podstawie bardzo szczegółowych badań fachowych można przystąpić do położenia podwalin Ministerstwa Gospodarstwa Narodowego, do czego powołane są jedynie miarodajne, kompetentne czynniki; zaś naszym zadaniem jest nieustanne głoszenie konieczności takiej konsolidacji w nadziei, że gutta cavat lapidem non vi sed diu cadendo.

Hipolit Gliroń.

Wielkie roboty podstawą do walki z kryzysem

Ogłoszona enuncjacja gospodarcza Partii Pracy wskazuje drogę ku opanowaniu stanu we wnętrzu niemocy, zwanego kryzysem; drogę poprzez wzmoczenie ad maximum pracy w Polsce i planowe jej zorganizowanie. Uważamy, iż należy nie kapitał przerabiać na pracę, albo zgola trwonić go na zasilki dla bezrobotnych, ale przeciwnie pracę obywateli przerabiać na cenne wartości rzeczowe i w ten sposób ją kapitalizować.

Z założenia tego wynika, że do uruchomienia pracy polskiej potrzeba woli do pracy, rozumnego planu jej uruchomienia, wiedzy, oraz zdolności technicznych i organizacyjnych, oraz wewnętrzno-kredytu wzajemnego.

Kryzys polski jest stanem niemocy moralnej, której przeciwstawić się skutecznie może tylko prowadzona przez zdecydowaną politykę państwową całość społeczeństwa, a nie jego odłam czy grupa. Inicjatywa prywatna pozostaje zawsze w zależności od polityki gospodarczej Państwa. Zależność ta w czasie wojny lub kryzysu jest tak wielka, że wszelkie bezplanowe, niesharmonizowane z całością życia gospodarczego próby jego ożywienia skończyć się muszą niepowodzeniem.

Państwo jest nie tylko największym przedsiębiorcą i największym pracodawcą, ale przytem jedynym dziś wielkim czynnikiem, który rozporządza zaufaniem obywateli, niezachwianem mimo polityki pośrednio powodującej niedostateczność środków obiegowych na rynku.

Państwo jako przedsiębiorstwo i budowniczy zarabia podwójnie: raz przez zwyczajną handlową rentowność, drugi raz — potęgując siłę pałkową obywateli i dochody skarbowe przez podniesienie wydajności pracy i obrotów gospodarczych.

Wielkie roboty były i pozostaną zawsze jedynym poprawnym sposobem wyjścia z depresji gospodarczej. Stosowane one były od niepamiętnych czasów. Budowa kanału Erie-Ontario w dobie ponapoleońskiej usunęła pierwszy kryzys zbożowy Stanów Zjednoczonych i kilkakrotnie podniosła zarówno wartość majątku, jak i dochody skarbowe Stanów nad Wielkimi Jeziorami. Kanał Suezki rozpoczął epokę wielkich przedsięwzięć na skalę światową. Pierwsze polskie wielkie roboty — budowa portu i miasta Gdyni przyniosła narodowi jak wielkie korzyści gospodarcze i polityczne, że dziś jeszcze w pełni ocenić ich nie możemy.

W znacznie gorszym od Polski położeniu są te społeczeństwa, które, wykonawszy już dawniej inwestycje rentowne i konieczne, prowadzą dzisiaj inwestycje zbytkowne. Stopień opłacalności inwestycji takich i to zarówno opłacalności kupieckiej, jak narodowej i wreszcie skarbowej, musi z natury rzeczy być tam znacznie niższy niż w Polsce, gdzie z rentownych musimy wybierać najrentowniejsze, z konieczności najkonieczniejsze.

Jakie rozmiary przybrać muszą roboty publiczne, aby dzięki nim zamierzony efekt podniesienia gospodarstwa narodowego został osiągnięty? O ile roboty publiczne nie zmobilizują tyle pracy, aby bezrobocie i trwonienie na zasilki funduszy

publicznych zostały zlikwidowane do minimum i o ile dzięki nim intensywność pracy polskiej nie zostanie podniesiona w tym stopniu, aby wzrost spożycia zapewnił ceny rentowne dla wsi, to podejmowanie robót tych nie osiągnie zamierzonego celu. Posuwając się w jednym punkcie o krok, a w innym cofając o dwa, przegramy bitwę gospodarczą. Nie może być mowy o poprawie gospodarczej, jak długo 64% obywateli pracować będzie ze stratą, jak długo wieś nie stanie się znów dobrym płatnikiem podatków i zobowiązań, jak długo nie zacznie z powrotem nabywać wyrobów przemysłowych.

Z obliczeń wynika, że dla podniesienia spożycia żywności do miary, zapewniającej godziwe ceny dla wsi, oraz dla usunięcia bezrobocia, należy wykonać wielkie roboty na sumę ok. 800 milionów złotych rocznie. Program wychodzi więc z założenia minimalnego. Znaczne przekroczenie tych ilości robót narazie jest niewskazane, ze względu na to, że roboty te wypadłyby wtedy drożej i gwałtowne przejście ze skrajnej depresji do zbyt wielkiego ożywienia gospodarczego jest niepożądane, a zarówno materiały, jak ludzie do podjęcia większych zadań wymagają odpowiedniego stopnia przygotowania.

Projekt Wielkich Robót jest najbardziej poprawnym rozwiązaniem problemu uruchomienia leżymionego bogactwa kraju w postaci odległemu leżącej pracy obywateli. Dziś w Polsce najwyższy czas jest na pracę, na wyścig pracy.

A. Płutynski.

Zagadnienie przyrostu naturalnego w Polsce

Zagadnienie depopulacji jest u nas nowe. Cyfr nie lubimy, choć czasem, wyrwywając z całości, lubimy nimi szermować. Mówimy wówczas: „cyfra nie kłamie”. — Cyfra istotnie nie kłamie, ale też nie mówi. Dopiero szeregi cyfr, tworzące kryzyse, mogą pomóc do rozwiązania zagadnienia. Dziwnem wydaje się, że byle wzmianka obcego pisma, podająca parę cyfr o spadku naszej rozrodczości, obiega prasę, stwarza niepokój, maci umysły. Już słyszymy nawoływania: „Wtłoczeni pomiędzy kolosy rosyjski i germański nie możemy sobie pozwolić na propagandę sztucznego zapobiegania ciąży, wzgl. uchylenia odpowiedzialności karnej za jej przerywanie”. Podłożem tych i temu podobnych głosów może być albo ignorancja, albo demagogia.

Bezsprzecznie, jednym z głównych czynników siły narodu jest jego liczebność. Jednakowoż, przyrost naturalny zależy jest, poza rozrodczością, od umieralności.

Zajrzyjmy do cyfr. — W r. 1921 mieliśmy urodzeń żywych 32,8%, przyrost naturalny wynosił 11,9%. W r. 1930 urodz. żyw. 32,3%, przyrost zaś natur. 16,7%. A zatem na urodzeniach straciliśmy niecały 1 procent, a pomimo to, na przyroście zyskaliśmy 40% — Największą rozrodczością „cieszył się” u nas rok 1922. Osiągnęła ona wówczas 35,5%. Wobec jednak olbrzymiej ilości zgonów (20%), na przyrost pozostało 15,5%. Obserwując

krzywą rozrodczości i zgonów w okresie 1921—30, zauważymy znaczne wahania pierwszej i stały spadek drugiej. Inaczej przedstawia się sprawa w okresie 1930—33 t. j. w latach kryzysu. Krzywa rozrodczości spada z 52,3% na 26,5%. Krzywa zgonów spada również, ale w stopniu mniejszym, bo z 15,6% na 14,2%. A zatem straciłszy na przyroście, na każde 1000 mieszkańców. 4,4. Gdybyśmy te dwie krzywe opadające przedłużyli w lata przyszłe zgodnie z ich obecnym nachyleniem przecięłyby się one około r. 1944 r. A więc, — teoretycznie, — od tego czasu, liczba zgonów równa byłaby ilości urodzeń. Dalej następowałaby przewaga zgonów.

Jak łatwo na tem podłożu bić na alarm. Ale równie dobrze można te cyfry przyłączać „ku pokrzepieniu serc”. Wystarczy spojrzeć, co się dzieje poza granicami naszego państwa.

Biorę okres 1926—31. W tym okresie straciłszy na przyroście naturalnym 5%, Niemcy 32%, Anglia 54%, Czechosłowacja i Francja po 21%, Włochy 16%. Wszystkie kraje europejskie (wyjątek stanowi Portugalia), tracą znacznie więcej niż my.

Jakkolwiek niema zatem powodu do paniki, to przecież trzeba przyznać, że spadek przyrostu jest poważny. Można go powstrzymać zwiększając ilość urodzin i zmniejszając ilość zgonów.

Zajmę się najpierw rozrodczością. Cyfry wykazują, że rozrodczość stale na całym świecie zmniejsza się wraz z postępem kultury. Zmniejsza się też gwałtownie również wraz z upadkiem dobrobytu. Gdybyśmy mogli wrócić do dobrobytu 1928 roku, było by to najpewniejszym środkiem zwiększenia ilości urodzin. Ale... szukajmy innych środków.

Wymieniam są to: premje dla nowożeńców i dla licznego potomstwa, ułatwienie wychowania, propaganda przeciwko sztucznemu zapobieganiu ciąży, kary za jej przerywanie, wzmacnienie ducha religijnego katolickiego, gdyż duchowieństwo katolickie potępia sztuczne ograniczenie urodzin. Pierwsza grupa tych środków, stosowana obecnie w większym zakresie we Włoszech, nie dała oczekiwanych wyników. Włochy w okresie 1926—31 straciły na rozrodczości procentowo tyle samo co Anglia, Niemcy, a więcej niż Holandia t. j. kraje, gdzie akcji tej nie było. Zyskały jedynie na ilości małżeństw. Nie pomogły ani premje ani propaganda ani kary. Są zjawiska, które nie dadzą się usunąć przy pomocy paragrafu i sankcji karnej. Zjawisko trwa, bo jest koniecznością życiową. A paragrafy pchają tylko na drogę omijania ustaw. Jeśli zdobędziemy nawet tą drogą znikomą ilość urodzeń, to zmiecie te życia statystyka zgonów. Polska należy do krajów o najwyższej rozrodczości, o bardzo niskiej stopie życiowej. Przerost rozrodczości sztucznie utrzymywany musi stworzyć większą nędzę, a ta powiększy ilość zgonów. W sumie nie otrzymamy tą drogą przyrostu ludności. A przecież o to nam chodzi, a nie o płodzenie się dla płodzenia.

Boy-Zeleński kiedyś napisał, że zwolennikami paragrafowemu zwiększenia ilości urodzeń są tylko księża i zakłady pogrzebowe, gdyż jedni i drudzy zarabiają na pogrzebach. Aforyzm złośliwy, — lecz trafny.

Często się słyszy, że katolicyzm przyjdzie nam z pomocą. Gdyż duchowieństwo nieublaganie tępi sztuczne ograniczenia potomstwa. Przytacza się kraje protestanckie Anglię, Niemcy, Norwegię, gdzie ilość urodzeń spada silniej niż w krajach katolickich. Statystyka istotnie to wykazuje, ale czy jest to wpływ katolicyzmu? Czy nie działają tu inne czynniki? W każdym razie rozrodczość na ziemiach polskich nie wykazuje — ków wpływu duchowieństwa w tym kierunku. Przeciwnie tam gdzie duchowieństwo katolickie cieszy się największym wpływem, gdzie masy są najbardziej katolickie, w wojew. Poznańskim, tam właśnie procent rozrodczości jest najniższy. Dla Polski zatem, ta recepta nie jest przydatna.

Przejdźmy z kolei do drugiego czynnika — zmniejszenia ilości zgonów. Jak wiadomo, umieralność w różnych krajach jest różna. W Europie waha się ona w r. 1931. w granicach od 10,8% (Norwegia) do 16,5% (Węgry). W Polsce wynosiła 15,5% (w 1935 — 14,2%). Przyczem największe zmniejszenie ilości zgonów wykazuje Polska, po niej idą Węgry i Włochy. We wszystkich krajach krzywa umieralności spada. Mamy zatem do czynienia z minimalnym zjawiskiem w rozwoju społeczeństw.

Drogi do zmniejszenia ilości zgonów są ogólnie znane: eugenika, profilaktyka, higiena, ochrona macierzyństwa, lecznictwo, opieka nad dzieckiem. Zwłaszcza na polu opieki nad niemowlętami, których śmiertelność jest u nas bardzo wysoka, bo aż 12,8%, podczas gdy Niemcy mają 10%, a Norwegia 5%, jest dużo do zrobienia. W przeciwnieństwie do akcji nad zwiększeniem ilości narodzin, akcja obniżania śmiertelności daje bezpośrednie, konkretne wyniki. O celowości jej zbytniemu byłoby się rozwódzić.

Niedość jednak sobie teoretycznie uświadomić całą wagę tego zjawiska, trzeba w praktyce wyciągnąć z tego konsekwencje. A tego w naszym społeczeństwie brak. Przeciwnie „modem” stało się narzekanie na „przerost” ubezpieczeń społecznych. Wolno i należy nawet podkreślać i wytykać braki organizacyjne instytucji powołanych do walki ze śmiertelnością czy to będą ubezpieczalnie czy związki prywatne. Społeczeństwo ma prawo żądać by pieniądze wydaktowane planowo na cel odpowiedni, a nie trwonione przez złą wolę, niedołęstwo lub gwoźli zadowolenia ambicji kierowników, lecz kto zwalcza, w naszych warunkach, istotę lub zakres działania tych instytucji, jest szkodnikiem. Są konieczności dla których środki znaleźć się muszą. Wielka ilość zgonów, — to ubożenie społeczeństwa. Zwiększenie przyrostu naturalnego jest zagadnieniem, którego waga sięga daleko, w stulecie. Narzekaniem nad upadkiem moralności i cnót staropolskich, deprawacją młodzieży nie załatwimy tej sprawy. Kary za przerywanie ciąży nie powstrzymają nurtu życia, — spienią tylko jego fale. Pozostaje akcja ku zmniejszaniu ilości zgonów. Idąc z postępem, możemy dokonać tu wiele. Warunki potemu mamy przyrodzone. Owoce już są, ale zbyt jeszcze drobne *).

*) Cyfry wzięłem z „Wiadomości statystycznych” r. 1932 i 1935, „Kwartalnika statystycznego” 1935 i artykułu prof. Dr. Karaffa - Korbuta w „Encyklopedii powszechnej” tom XIII.

Zdarzenia i uwagi

ś. p. MICHAŁ WOJTKIEWICZ.

Dnia 27 kwietnia 1934 r. na cmentarzu na Powązkach odbył się pogrzeb ś. p. inż. Michała Wojtkiewicza, Naczelnika Wydziału Nurtowego B. Dyrektora Dróg Wodnych w Warszawie, autora ostatnio opublikowanego dzieła p. t. „Drogi wodne na tle ewolucji transportu”. W imieniu najbliższych przyjaciół na niwie politycznej i społecznej pożegnał zmarłego w serdecznych słowach senator Julian Poczetowski, podnosząc działalność ś. p. inż. M. Wojtkiewicza, nacechowaną wielką troską i pracą dla dobra ogółnego, przepojoną ideologią i wskazaniem patriotycznymi Wielkiego Wodza.

Senator J. Poczetowski podkreślił, że aktywnym wyrazem działalności politycznej Zmarłego była Jego praca w Sekcji pracowników na drogach wodnych Parlii Pracy (B. B. W. R.), której był prezesem.

Do podniosłego nastroju nabożeństwa żałobnego przyczyniły się wielce żałobne pisma p. J. A. Kimaczyńskiego, członka Zarządu Organizacji m. st. Warszawy Parlii Pracy B. B. W. R.

Związki zawodowe pracowników na drogach wodnych były na pogrzebie licznie reprezentowane. Żegnały z żalem z jednej strony światłego swego Przewodnika w pracach zawodowych, z drugiej strony szlachetnego Zwierzchnika i Przyjaciela.

„JUNACY”.

Próby poczynione w obozach pracy przez Strzelca i POW, doprowadziły do założenia „Stowarzyszenia Opieki nad Niezatrudnioną Młodzieżą”, które dzięki mocnemu poparciu i zdrowej inicjatywie ze strony p. min. Hubickiego dziś już stanowi ważki czynnik w naszej pracy nad młodem pokoleniem.

Środki niezbędne czerpie SOM z Ministerstwa Opieki i z Funduszu Pracy — jest to więc jedzą z udziałem produkcyjnego zużycia pieniędzy przeznaczonych na wsparcia dla bezrobotnych. Te środki mają zapewnić możliwość prawowitego i kulturalnego życia zatrudnionym.

Stowarzyszenie utworzyło następujące działy (Inspektoraty): główny, organizacyjny i kontroli, intendenty, zaopatrzenia ośrodków, techniczny, kwaterunku i organizacji i kontroli robót, wychowania obywatelskiego, kobiecego i rekrutacyjny.

Organizacja ośrodków pracy odpowiada mniej więcej temu podziałowi. Na czele stoi komendant, odpowiedzialny za całość życia ośrodka do intendenta należy zagospodarowanie kasowate i wyżywienie, Instruktor wychowania obywatelskiego pełni rolę nauczyciela i kierownika prac kulturalno — oświatowych. Komendant nadto zależnie od liczebności ośrodka mianuje odpowiednią ilość drużynowych.

Główny nacisk w pracy położono na regulację Wisły. Poza znaczeniem technicznym i gospodarczym posiada to i pewien bardzo ważki moment wychowawczy. Pracy poświęca wielki cel, który ma być osiągnięty wspólnym wysiłkiem tysięcy młodzieży, rozrzuconej wzdłuż Macierzy naszych rzek.

W tej chwili posiadamy już sporo ośrodków bądź już pracujących, bądź mających podjąć pracę w najbliższej przyszłości. A więc 1) w Krakowie kwateruje ośrodek w formie płaszczywnym, liczący 115 junaków; 2) Opatowcu, w specjalnym baraku — 160 j.; 3) Nowym Korczynem, w budynku murowanym — 230 j.; 4) w Nowym Korczynem — 100 j.; 5) w Szczepanowie, na galarach 100 j.; 6) w Sandomierzu w barakach 460, 7) w Sandomierzu 100, 8) w Puławach, 9) w

Warszawie, 300, tak samo zakwaterowanych, 10) w Plocku, 11) Toruniu, 12) Chelmie i 13) Tczewie po 200 w barakach pływających.

Pływające baraki są zaopatrzone w namioty, które się rozpinają na brzegu na świetlice. Poza tym przy robotach wodnych weźmie udział 400 junaków na Warcie, po 200 na Pysznym i Sanie i 100 na Naretwie. Młodzieży też powierzono będą ogromne roboty nad szlucznym jeziorem przy Sole, które ma służyć regulowaniu poziomu wód na Wiśle. Stanie tam do pracy 600 młodzieży.

Ogółem w tym roku pracować będzie 12 tysięcy junaków objętych pracą Towarzystwa.

Nie jest to wiele. Stany Zjednoczone, Niemcy zatrudniają w ten sposób do ćwierć miliona ludzi. Przecież trzeba przedewszystkiem wziąć pod uwagę, że są to początki, trudne, robione przy środkach skromnych, a co gorzej wobec zupełnego niemal braku doświadczonego personelu instruktorskiego. W tych warunkach rozwijać organizację na wielką skalę niemożna.

I oto jedna uwaga się nasuwa mimowoli. Młodzież z pośród inteligencji do obozów się jak dotąd nie zgłasza. A przecież jest ona tam niezbędna. Niezbędna poprostu dla konieczności wypraktykowania się w tej wielkiej pracy, która ma przysłużyć olbrzymią przed sobą. Instruktorzy techniczni, oświatowi, i inni potrzebni są już dziś. Z chwilą rozwinięcia całości planu trzeba będzie ich neporównanie więcej. A przecież tu instruktor dojeżdżający, nie umiejący pracować wraz z innymi, nie znający wszystkich ciężarów życia szeregowego junaka jest nie pomocą, lecz zawadą bardzo często. Rozsypanie w obozach ludzi, którzy bodaj w czasie akcji odbędą praktykę na przyszłych oficerów, jest wskazane.

BUDOWNICTWO.

W jednym z ostatnich numerów „Pjonu” znajdujemy ciekawy artykuł o budownictwie mieszkaniowym w Anglii. Autor, p. M. Kaczorowski, podaje b. interesujące cyfry. Domek osobny o trzech pokojach z kuchnią, łazienką i ogródkiem dostarcza się pod Londynem za cenę 9.970 zł., podczas gdy cegła i robocizna kosztuje tam półtora raza tyle co w Polsce. Od roku 1919 do 1933 wybudowano w Anglii przy pomocy skarbowej 1.121.070 domów, zaś bez pomocy skarbowej 940.686 domów co stanowi łącznie przeszło dwa miliony domów. A więc w bogatej Anglii więcej wzniesiono mieszkań przy pomocy subsydjów niż bez nich. Niech to będzie nauką dla różnych naszych dorosłych ekonomistów, deklamujących bez końca powiastki o „inicjatywie prywatnej”. Pod wpływem świeżo czytanych podręczników ekonomii „klasycznej”.

Co my możemy temu przeciwstawić? Oto w ostatnich czasach słyszeliśmy głosy zadowolenia z tego, że w roku bieżącym kredyt państwowy i prywatny na budownictwo mieszkaniowe drogie i nieporządne, nie uregulowane pod względem przemysłowym zupełnie, wyniesie około 150 milionów złotych. Już tego rodzaju sumy uważa się za poważne! Mybysmy je również za poważne uznali pod warunkiem, że w budownictwie tem nie było by takiej anarchii, która sprawia, że dom w Polsce jest droższy o wiele, niż dom w Londynie, gdzie liczą na funty sterlingi.

Sprawa ta leży u nas odlegiem. Nie zdobyliśmy się na jej postawienie racjonalne, choć rok po roku mijają sezonowe budowlane, zawodzące całkowicie pokładane w nich nadzieje. Budownictwo mieszkaniowe musi być objęte planem robót publicznych.

WZROST WYTWÓRCZOŚCI.

Wytwórczość żelaza osiągnęła najniższy poziom w roku 1932-tn, spadając do 199 tys. tonn. Rok 1933 już znamionuje poprawę, sięgając przeszło 33 proc. i wynosiła 306 tys. tonn. Najgorszy rok 1926 był przecież jeszcze lepszy od zeszłego, bo wytwórczość żelaza wyniosła wtedy 327 tt. W dziedzinie stali przecież prześcignęliśmy już rok 26-ty. Postęp tu jest o wiele znaczniejszy. Rok 1932 dał 764 tt. stali — rok zeszły — 866 tys. gdy rok 1926-y, najgorszy, jak powiedzieliśmy z wszystkich poprzedzających 788. Jak widzimy poprawa to bardzo nieznaczna. Rok 33 ledwie zrównał z 26-ym. Zrównał się w ilości. W stosunku do liczebności naszego Państwa — jest jeszcze o wiele gorszy. To też życie w tym okresie było o wiele cięższe a bezrobocie dotkliwsze. Zaznaczyć wypada, jednak, że polepszenie się w bieżącym roku jest poważniejsze.

PERSONALIA MIĘSKIE.

Prace nad uzdrowieniem gospodarki miasta stoł. Warszawy według brzmienia komunikatów postępują naprzód. Stwierdzono cały szereg uchybień i znaczna ilość dygnitarzy miejskich już podała się o zwolnienie. Stwierdzono, że wydział oświaty i kultury przeprowadzał wizytacje szkół równoległe z organami Ministerstwa Oświaty, co uznano za zupełnie zbędne, że wydział handlowy formalizował wszystkie sprawy, wskutek czego na niezliczone trudności byli narażeni klienci, a to co mógł dobrze załatwić jeden urzędnik przechodziło przez ręce trzech. Okazało się, że przedsiębiorstwa miejskie zakupywały węgiel nie przez Wydział Zaopatrywania, który ofiarowywał ceny tańsze, ale u prywatnych przedsiębiorców po cenach droższych. Wszystko to podaje prasa, która powinna czerpać wiadomości z bezpośrednich źródeł. I oto w tej samej prasie znajdujemy notatkę, zaprzeczającą masowemu zwalnianiu urzędników w magistracie. Trzeba jakoś tę sprzeczność pogodzić. Magistrat nie cieszył się nigdy dobrą opinią w kołach ludności m. st. Warszawy. Urzędy magistrackie — tem mniej. Komunikaty prasowe zdają się potwierdzać tę ujemną opinię. A więc — należało by oczekiwać poważnych zmian. Ze wszystkich stron słychać o przeciążeniu budżetu miasta nadmierną ilością pracowników. A tymczasem?... redukcji masowych nie będzie. Tylko jedna z tych alternatyw może być prawdziwa, gdyż jeżeli przyjmujemy obie — musielibyśmy dojść do zupełnie absurdu i wniosku, że jakkolwiek skonałoby, że wszystko było złe — zdecydowano wszystko to zło — pozostawić i raz na zawsze wyrzucić jakiejś kolwiek próby naprawy.

Nie wdając się w meritum sprawy, prosimy usilnie o bardziej konsekwentne informacje.

AWANSE.

Piętnaście tysięcy awansów dostali pracownicy państwowi. 6 tysięcy przypada na administrację zaś 9 tys. na pracowników przedsiębiorstw. Na stopnie służbowe VI i wyższe awansowało niespełna 270 — reszta to posunięcia niższych urzędników. 15 tysięcy to odsetek bynajmniej nie imponujący — zwłaszcza po tylu latach zupełnej przerwy w awansach. Dla ogromnej ilości będzie to zaledwie powrót, do tego, co stracili przy przeszerzowaniu. A jednak bezwarunkowo jest to pewien krok naprzód. Krok bardzo skromny, bardzo nieznaczny, ale przynajmniej otwierający pewne możliwości. Jest to przełamanie stałego jak dotąd pogarszania doli urzędniczej, stałego ograniczania jej możliwości życiowych. Jest to jakoby przełamanie tego niesłuchanego nastroju, jaki opanował całość społeczeństwa,

przeświadczenie, że wszystko musi się nieustannie pogarszać.

I właśnie dlatego tę nieznaczną poprawę witamy z radością i uznaniem. Krok jeden — mało posuwa, ale wskazuje kierunek. I dlatego jest niesłychanie ważny.

KSIĄŻKA DLA WSZYSTKICH.

Powołana do życia instytucja pod nazwą „Książka dla wszystkich” ma na celu rozprowadzenie książki po całym kraju. Uzyskała ona specjalne zniżki pocztowe dzięki którym przesyła paczki książek wypożyczonych kosztuje tyle co list. Każda grupa osób, po wpłaceniu nieznacznej kaucji za minimalną opłatą może abonować wypożyczanie książek po trzy, dziewięć i dwanaście tomów naraz. Posiada to ogromne znaczenie i netykło dla osób pojedynczych, ale i dla różnych czytelni prowincjonalnych, których środki nie wystarczają do zakupywania stale większej ilości książek a więc obsługiwania klientów nowościami. Mogą one poprosić abonować pewną ilość kompletów w „Książka dla wszystkich” i rozporządzać dla swych odbiorców całym zasobem wydawnictw danej chwili. Czytamy stąd że w ten sposób rzeczą tanią i dostępną niemal dla każdego.

„Książka dla wszystkich” może się stać znakomitą instytucją pomocniczą dla każdej instytucji społecznej, prowadzącej pracę kulturalną lub oświatową. Dzięki niej najslabsza z nich może mieć do rozporządzenia kolosalny wybór dzieł i obsługiwać poprostu nieograniczone niczem rzesze czytelników. Każda instytucja dla swych współpracowników może mieć dowolny wybór rzeczy fachowych. Należałoby dobrze spopularyzować jej działalność, gdyż jeżeli dziś nie ma ona pośrednio i bezpośrednio setek tysięcy klientów to chyba tylko dla tego, że nie jest należyście — rozreklamowana.

Oczywiście, że przy takim postawieniu sprawy powstaje zupełnie nowe zagadnienie popularyzacji katalogów i wydawnictw bibliograficznych, których na razie u nas brak.

OTWARCIE SEZONU.

Już w zeszłym roku Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej objął jako przedsiębiorstwo dochodowe dawny Luna - Park i po przeprowadzeniu szeregu inowacji, otworzył ogród rozrywkowy publiczny pod nazwą „100 pociech”. Z jednej strony chodziło o dochodowe przedsiębiorstwo, które by zapewniło środki dla akcji pomocy społecznej, prowadzonej przez Komitet — z drugiej zaś o podniesienie poziomu zabaw ludowych. Ogród obecny zapitrony jest we wszelkiego rodzaju urządzeń, jak karuzele, huśtawki, kolejki górskie, krzesła rzucające, hippodrom, konie, kucyki, urządzenia „magiczne” itd. posiada też dobrze prowadzoną herbacianię, dancję, jadłodajnię — ma więc wszystkie szanse stać się pierwszorzędnym miejscem rozrywki. Z biegiem czasu z ogrodem zostanie połączona plaża nad Wisłą. W projekcie jest urządzenie w ogrodzie przynajmniej raz na tydzień koncertów muzyki poważniejszej — niby wskrzeszenie tego, co kiedyś tak lubiła dawna Warszawa w Dolinie Szawcarskiej.

W sobotę dnia 28 sm. odbyło się uroczyste otwarcie 100 pociech z udziałem p. Wojewody Jaroszewicza i licznych gości oraz Prezydium Obywatelskiego Komitetu z senatorem Evertem, sen. M. Wyrostkiem, p. Roszkowską, dyr. Durą na czele. Zaproszeni zwiędzili urządzenia obszernego ogrodu, z zadowoleniem stwierdzając jego estetyczny wygląd. Pośród instalacji zwraca uwagę piękny aeroplan (modyfikacja dawnych kroków olbrzyma) pomysłu wynalazku polskiego. Jak dotąd nie mieliśmy jeszcze wynalazków zabawowych.

DYSKUSJA

O GODNOŚĆ I SPRAWIEDLIWOŚĆ.

W obronie roszystkiego, co jest ludzkie, staje świetna publicystka, Kazimiera Muszałówna, umieszczając na czele 16-go uru żywo i inteligentnie redagowanego pisma „Kobieta współczesna” przepiękny artykuł pt. „Żelazna ręka za żelazne mi kralami”. Nie możemy się poruszyć przed pokusą zacytowania tego mocnego wystąpienia.

Utalentowana autorka zwraca uwagę na fakty bicia, w czasie śledztwa stosowane niesłusznie, nielegalnie, ale stosowane. Prarada, kiedy zainteresowano p. min. Składkoroskiego w tej sprawie i o senacie odpowiedział on, że nie czekając na zapytanie rozpedził urząd śledczy w Lucku, gdzie stworzone zostały fakty zniechęcia się. Ale — bardzo szybko potem owi wypędzeni zostali „odszkodowani” dobrymi posadami — państwowymi. To fakty, świadczące, że w naszej opinii niema należytego oporu dla tego rodzaju przestępstwo — ba, zbrodni. P. Muszałówna zwraca uwagę na masy terror, stosowany w procesie luckim. Powiada, że chodziło o wydobycie prawdy od przestępców, którzy godzili na całość państwa. Więc zastanawia się:

„Przypomnijmy sobie, ile to my znamy takich wypadków, w których ofiarą nadużyć padło tysiące robotników, którym zniknęły w splajtowanych bankach oszczędności, którym nie placono złośliwie zarobków, pracowników, którym zaprzeczono kaucję. Przypomnijmy sobie procesy wielkich złodziei, którym tak trudno udowodnić winę, którzy tak genialnie... zacierali za sobą ślady. Moglibyśmy powiedzieć, że to wielkie nadużycia, te wielkie afery kryminalne, których ofiarą padły tysiące ludzi pracy, w droższe najprostsze i przyspieszonej prowadzą masy do komunizmu. Skontrolujmy naszą pamięć: czy słyszeliśmy kiedy, aby tych wielkich oszustów, tych najskuteczniejszych propagatorów komunizmu, bito przy bandach, aby wydobyc prawdę, aby uzyskać dowody winy?”

Rzecz warta zastanowienia. Dla czego to bestja ludzka zwraca się przeciwko ideom, przeciwko, być może wrogom, ale ludziom uczciwym? Dla czego nie szuka ujścia dla smych sadystrycznych popędów ku tej najgorszej, najszkodliwszej kanali, która ma na usługi roszystkie kruczki obrony i roszystkie środki mybielenia się i zatajenia istotej prawdy?

P. Muszałówna mstrzymuje pióro, gdy cała istota jej rozbiara oburzeniem wobec poniewierania godności ludzkiej. Przechodzi na grunt rozumowy. Pyta, jakie są realne korzyści dla społeczeństwa i Państwa z torturowania więźniów — wrogów współczesnego ustroju.

Przypuśćmy — pisze — bicie złamało wolę działania stu bitych osobników. Przypuśćmy — nie wrócą oni więcej do swej nielegalnej, konspiracyjnej roboty. Ale... Prawdo o bicie może nie znaleźć wyrazu na szpalach prasy, ale w innej drodze, przez sto innych sposobów dotrze do społeczeństwa, a przynajmniej do tej jego części, która w sprawę została wciągnięta... podminie nastroje, umocni poczucie konieczności walki, wywoła fale nienawiści...

Tak jest. Wszystko prawda. Tylko zło też znacznie głębiej, niż przypuszcza p. Muszałówna. Oto p. min. Składkowski rozpedził urząd — a minni natychmiast znaleźli posady. A więc znaleźli się szefowie i koledzy, którzy gotowi byli z nimi pra-

comać. Gdyby nie dostali w instytucjach rządowych — dostali by je w fabrykach, biurach, gdzie bardzo chętnie widziano tych „stanowczo” zwalczających komunizm. Niema w społeczeństwie dzisiejszem obrzydzenia do gwałtu. Niema pozostanowania jednostki ludzkiej. Rozkrzewiła się wiara lojalna, że cel uświęca środki.

Artykuł p. Muszałówny zwraca się nie tylko do sfer decydujących, które winny tępić nadużycia, ale do opinii, która musi z niemi łączyć rozsądek i na każdym kroku.

MŁODZIEŻ BEZ OPIEKI.

Sprawa zatrudnienia młodzieży, młodocianych, mówiąc ściślej, stała się i zagranicą i w Polsce przedmiotem bacznych studiów i całego szeregu ustaro, mających na celu ograniczenie wyzysku, zapewnienie możliwości rozwoju młodym organizmom i możliwości kształcenia się tym, którzy od roczesnych lat muszą zarabkować na życie. Ustawy te nakładają cały szereg obowiązków na przedsiębiorstwa korzystające z pracy młodocianych. W czasie dobrej konjunktury i wysokich plac narwet najdalej posunięte ograniczenia nie osiągały jednak pożądanych wyników — różnica bowiem płacy robotnika dojrzałego i ucznia były tak wielkie, że perne niedogodności sornice się opłacały. Kryzys, spadek cen pracy, możliwość zatrudnienia dorosłego za tę samą niemal cenę, co chłopca lub dziewczynę poszedł na rękę ustaroodawcy.

Podnosi to w ostatnim (5-cim) n-rze „Życie Dziecka” p. Janina Ryngmanowa. Wykazuje autorka, że udział młodocianych w przemysle wynosił na styczeń r. 1931 — 6%; r. 1932 — 5,1%; r. 1933 3,2%. Ilość zatrudnionych młodocianych spadła więc o połowę. Ustawy najmocniej zwrócone przeciwko tej pracy poczęły działać w większości dopiero w r. 1935-im, a zatem należy się spodziewać, że ten rok rykaże dalsze ograniczenie ilości młodzieży.

Sprawozdania inspekcji pracy słusznie mitają ten fakt z zadowoleniem. P. Ryngmanowa midzi jednak w tem zjawisku odmrotną stronę medalu. Przecież młodociani szli do pracy nie dla przyjemności. Pędził ich tam głód. Pędził mrody, gdy zymieciele rodzin zarabiali bez porównania lepiej niż teraz. To jedno. Drugie to fakt, że młodzież, usunięta z marszlatóro — rzucona została na ulicę. Autorka obawia się, że ten niezajęty, pozabamiony opieki element staje się podatnym materialem dla krzemienia przestępczości, prostytucji, żebractwa itd. Stąd postulat zupełnie logiczny — organizacja opieki nad tą młodzieżą.

Podnosiliśmy już tę sprawę, która staje się z dnia na dzień coraz bardziej doklirońską bolączką naszego życia. Naszem zdaniem nieodroalnie potrzebne jest dla zapobieżenia zlu przedemzystkiem przedłużenie obowiązku szkolnego. Im bardziej go przedłużymy, tem więcej rocznikóro młodzieży odejdzie od rynku pracy. A następnie rzecz o prost konieczną jest organizacja świetlic i klubóro, w których mogła by była ta niezatrudniona młodzież spędzić czas. Doniosłość tej sprawy rośnie istotnie z dnia na dzień, a rok obecny zapewne pokaże już poprostu grozę sytuacji.

Wnioski ze wspomnień

Kiedyś czytaliśmy „Uśmiech Dzieciństwa” *) Marji Dąbrowskiej z nieco innym wrażeniem. Książka pełna czaru wiosnianej przeszłości, tęsknoty za tą dawną, minioną bezpośredniością wrażeń, która wszystko prześwieślała, czyniła cudownym, bo wszystko, co przeminało, złożyło się przecież na ukształtowanie naszej obecnej jaźni — i żyje wszystko jako część składowa nas samych — a ból wrastania nowych pierwiastków w duszę — już należy do zapomnianych rzeczy — jest nieistotny, napięciem swym chyba cieszy.

Czytaliśmy tę książkę ze wzruszeniem i — może rozczuleniem — tak tęgnęło nam wszystko prawdą i szczerością bliskiego rzeczy i kochającego obserwatora. I zdawałoby się, że najwyższe wypadnie nam dziś wspomnieć o nowym wydaniu i rzeczy i powołać się na dawniejsze recenzje, na to, co kiedyś się na ten temat pisało. Pod tem wrażeniem przeczulałem karty, odświeżając w pamięci jej szczegóły. Ale oto nagle coś nowego uderzyło — coś zmusiło się zastanowić. I wtedy przeglądanie zamieniło się na czytanie, wczytywanie się, wżeranie w treść pożądlive i namiętne.

...Janek — brat najstarszy. Umarł dawno, przed narodzeniem pierwszej „najstarszej dziewczynki”... Została tylko nieprawdopodobna legenda o jego doskonałości nieosiągalnej. Czytamy dalej. Oto wigilia. Wszyscy zasiadają do stołu i jedzą rybę. A matka drżała, żeby dzieci się nie udławiły ościami. Ha — kłóż jest ta matka? Poznaliśmy ją, nagle, w jednym zdaniu. Przecież to jest owa „markotna” Barbara z „Dni i nocy”. A podobieństwa się mnożą. Ta sama „zakąta rodziny” Tomaszek. Ta sama babka, która wciąż czeka na przyjazd swego najstarszego syna z Petersburga. Niebawem ujrzymy u wujka Daniela i ciotkę Michasię — tych dobrych naszych znajomych, które we wspomnianej powieści stoją z tak nieczłówną wyrazistością.

To co uśmiechało się czarem wspomnień dziecinnych, co stanowiło najcudowniejszą legendę własnego szczęścia — potem trzeba było wziąć na warsztat twórczości. Najbliżsi, najukochańsi ludzie, ku którym gnała dusza miłośnica, stanęli potem pod wszystkich widokiem spojrzeniem artystki. Nie zawahała się przeświecić ich potęgą własnego talentu, wdrzeć w ich najświętsze tajemnice i ukazać obnażonych już z uroku dawnego, jako ludzi słabych, ułomnych, takich sobie zwyczajnych — pospolitych, podległych zwyczajnym żądzom i zachciankom, wkładających swoje stosunki brakiem woli, rozsądku, a czasem najprostszego rozumu.

Wszystko to, co było w pozłocie wspomnień, stanęło w szarzyźnie.

Nie nasza jest rzeczą sądzić, jak bolesna była ta operacja, ile nocy bezsennych, ile — walki z własnym sumieniem kosztowała. Dość, że przez

zestawienie „Uśmiechu Dzieciństwa” z dalszą twórczością Dąbrowskiej zbliżamy się do samego misterium tworzenia. I jeżeli ktoś nie jest o tyle tępy, że poczyni od wyrzutów, od zastanawiania się nad zagadnieniem, czy miała Autorka prawo swych najbliższych uczynić przedmiotem badań artystycznych, jeżeli ktoś zdobędzie się na tyle pokory, by przyjąć fakt i rozważyć go tak, jak on jest — to po namyśle dojdzie do przeświadczenia, że naprawdę tu zupełnie pokora przystoi. Mamy do czynienia z człowiekiem, który, podjąwszy pracę pisarską, istotnie oddaje wszystko, co ma najdroższego, najukochańszego, co w nim jest najbardziej osobiste i najbardziej własne. Spotykał się z pracą pisarską, która dzień po dniu „ubiera duszę, wypracowuje w sobie najwyższy stopień szczerości — która jest przecież najwyższem poświęceniem.

Teraz dopiero rozumiemy ten niesłychany urok, jaki wywierają rzeczy Dąbrowskiej. Urok, każący nieraz czytelnikowi zapomnieć o formie, o rytmie jej niesłychanie charakterystycznego stylu, o kompozycji zawsze głęboko przemysłanej i dokładnej. Dąbrowska poprostu onieśmiela każdego, kto zbliży się do niej, onieśmiela absolutną czystością swojego stosunku do tego co tworzy. Zakulisawa strona jej roboty jest zbyt intymna, by ją można było bez głębokiego wnuknięcia w samą treść rzeczy poruszać.

I to jest jeden człowiek twórczy, ofiarny, przeniknięty wagą tego, co czyni w cichości wielkiej — w skromności zdumiewającej.

Spróbujmy teraz wziąć człowieka drugiego, którego wspomnienia ukazały się w polskim przekładzie. We wspomnieniach Conrada **) nie znajdziemy bodaj ani jednej postaci z tych, które potem ukazały się w jego utworach. Przepraszam — jest jedna — Almajer, ten sam, który jest bohaterem pierwszej jego powieści, pisanej przez długie lata wędrówek po morzach i lądach, wykańczanej już po opuszczeniu służby w marynarce. Wspomnienia dotyczą tych rzeczy przeważnie, które nie znalazły bezpośredniego oddźwięku w tem co napisał. To Polska — kilka momentów wczesnej młodości a potem pobyt u wujka w Ukrainie. To to, co Conrad zamknął w sobie i czego nigdy do głosu nie dopuścił, czego nigdy nie dał na eksperyment artystyczny.

I znów po przeczytaniu ich poczyną się nam odświecać jedna z tajemnic twórczości. Czy Conrad wiedział o tem, że zostanie pisarzem? Chyba nie. Tak on sam twierdzi. A jednak życie jego układało się właśnie tak, jak gdyby świadomie, planowo, konsekwentnie do tego pisarstwa się przygotowywał. Coś, jakiś głos wewnętrzny zakazywał mu użyć przeżytych dziecinnych jako materiału do tego pisania. Cóż to był za głos? Poważymy się, z tej nowej rzeczy wniosując, — powiedzieć że był to głos religijnego poprostu patriotyzmu. To był jakowyś pietyzm względem ideałów rodziców. Postać zesańca ojca — męczennika

*) Marja Dąbrowska. „Uśmiech Dzieciństwa”. Wspomnienia, Wydanie drugie. Str. 137. Warszawa 1934. Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie.

**) Joseph Conrad: „Ze wspomnień”. Pism zbiorowych Josepha Conrada (Konrada Korzeniowskiego) Tom XV. Str. 175. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej.

nika, postać męczennicy matki — to nie byli tylko ludzie — to były symbole, symbole, którym należała się cześć — to niemal posąg zamknięty w duszy w całej swej krasie nie tylko przywiązania. Wywołuje je Autor tu i żąda dla nich pokłonu wielkiego, powiadając, że żyją już tylko w nim i razem z nim — zjedną ze światła. Ba! Ale prawdziwy artysta właśnie w posagowość ludzi uwierzyć nie może — nie jest w stanie. Jego zmysł badawczy nie może zabić w sobie wszystko ogarniającego pragnienia — dociekania. A dociekaniu temu na zawadzie stała u Conrada nie tylko miłość, ale coś szerszego, atmosfera pogrzebu, uroczystości; atmosfera wiecznej wiary, której niewolno skruszyć, nakaz moralny przemożny: świętości nie szargać, bo trza aby święte było! Świętości nie tylko jego, ale tych tłumów, co zwłoki ojca odprowadzają.

Młody talentowany człowiek dławi się w tem wszystkim. I oto porzuca owo muzeum relikwii, których potęgi przemóc nie może, ucieka w szeroki świat, by spotkać ludzi, innych których żaden względ nie każe mu stawiać na niedosiętych piedestałach, których można będzie brać pod lupę obserwacji z całkowitą zimną krwią i bez żadnych skrupułów. W stosunku do otoczenia swego krepuwały młodego Józefa Korzeniowskiego niezliczone impedenrabilja, i oto zniknąć miały one w stosunku do tych innych. Miały zniknąć. — A przecież nie zniknęły. Conrad — pisarz w całej swej twórczości — zachował względem wyczarowanych przez się postaci niesłychaną dyskreję. Ukazywał je w tych rozmiarach, w jakich sam się ujawniał. Nie wchodzi nieproszony w ich głąb. Postępuje ściśle według wojskowej instrukcji dla wydawców, rozróżniając fakty widziane i opowiadane — a wrodzona dżentelmenerja nakazuje mu zostać zawsze albo w sferze faktów zewnętrznie dla każdego dostępnych, albo opowiadania zainteresowanych — delikwentów lub świadków.

Otóż ta metoda pracy wymagała ogromnej ilości obserwacji obserwacji ludzi. Cała twórczość Conrada jest ludzimi poświęcenia. Morze stanowi dla niej tło i pewną metodę wydzielania zjawisk, które mają być poddane badaniu. I ta wewnętrzna konieczność, z której Józef Korzeniowski jako piętnastoletni chłopak jeszcze nie zdawał sobie sprawy, pchała go w świat coraz dalej i dalej, pchała go nie gdzieindziej tylko ku pewnego rodzaju prymitywom życia społecznego, współzycia ludzi, jakie jest na okęcie. Te prymitywy właśnie gromadzić będzie Conrad w swem laboratorium.

Oto jest zestawienie dwóch indywidualności ludzkich bardzo odległych od siebie, z których jedna składa ofiarę już w samej chwili tworzenia — druga w pracy przygotowawczej do tego tworzenia. Jedna ocala linję swojego życia — druga ściąga na się klątwę dezercji — a wszystko to w jakiejś wielkiej służbie badawczej, która na przed człowiekiem rozjaśnia jego wnętrze, w służbie dla której winniśmy — mało cześć — bo uwielbienie.

Pierwsze próby

W tej chwili widać już, że cała akcja do wprowadzenia w życie zasady odpracowywania obiadów spaliła na panewce. Spotkała się ona z spontanicznym protestem całej masy bezrobotnych. Nawet ci, którzy gotowi byli zgłosić się do roboty, zostali steroryzowani przez ogół. Zaledwie kilkudziesięciu z pośród tysięcy tych, co dostawali obiady w kuchniach Obywatelskiego Komitetu Pomocy społecznej stanęło na wezwaniu.

Nie sądźmy, aby wypadło wobec tego położyć krzyżyk na samej zasadzie. Raczej trzeba znaleźć nieco inne formy jej urzeczywistnienia.

A więc przedewszystkiem trzeba stanowczo zastrzec się przeciwko organizowaniu podobnych rzeczy „z poza zielonego stolika“. Samo życie pokazało, że inicjatorzy w niedostatecznym stopniu orjentowali się w sytuacji. Od błędów nie uratowało ich ani doświadczenie innych samorządów, ani wielkie kampanje prasowe. Niedojrzałe decyzje zostały powzięte bez wysłuchania tych, którzy naprawdę wśród ludności bezrobotnej pracują, bez uprzedzenia bodaj w czas tych, którzy jako taki wpływ na nią mieć mogą. To był pierwszy i kardynalny błąd całej akcji. A z niego popłynęły dalsze.

Przedewszystkiem nie zostały uwzględnione warunki fizyczne „materiału ludzkiego“. W najbliższym czasie będziemy mogli ogłosić w tej sprawie nieco ściślej dane. Teraz zadowolimy się stwierdzeniem faktu, że stan sił ludzi, dla których przez całą zimę za pożywienie służyła tylko zupa i chleb, wydawane przez kuchnię dla bezrobotnych jest poniżej możliwości jakiegokolwiek wysiłku. Ani muszą się najpierw najeść, a potem dopiero będą mogli pracować. Wziamian zaś za pracę muszą dostawać (jak każde zwierzę robocze), nie zupę, ale posiłek żywność — żywność pełnowartościową. I nie jeden raz na dzień, ale, jak każdy człowiek trzy razy na dzień. Papierowy rachunek tego nie uwzględnił. Odpracowywać można utrzymywanie — odpracowywać nie można zupy. Z tem się trzeba liczyć.

Na wiosnę wszystko się rusza. Sprzątania, przeprowadzki, roboty w ogrodzie, handel jarzynami i wiele, wiele innych dziedzin potrzebuje rąk ludzkich.

Otwierają się wreszcie roboty publiczne, remonty — i wiele innych zajęć stalszych. Ludzie odżywają. Poczynają szukać zarobku. Raz wraz coś się trafi. Jedni chwytają co się da, inni poszukują czegoś stalszego. W takiej chwili brać człowieka na odrobek — to znaczy pozbawiać go tych niewielu groszy, które może starczyć na załatwienie ubrania, na wpłacenie paru złotych na komorne. Powiadają na to, że odrobek trwa parę dni. Ale przecie te parę dni dla rodziny z 5 osób rozciągają się na całych 101! Przez pozostałe 15 trzeba zarobić na resztę utrzymania i komorne. A do tego wybiera te dni nie sam bezrobotny, lecz urząd, te dni właśnie mogą przypaść na moment, kiedy człowiekowi się coś nie coś się trafia.

Tylko w kancelariach, przy zielonym stoliku można było wyznaczyć czas na odrobek w miesiącach wiosennych. Prawda, na wiosnę łatwiej za-

jąc ludzi — ale nie zawsze można i nie zawsze wolno sobie ułatwiać w ten sposób zadania, bo takie ułatwianie niejednokrotnie poprostu grzebie je w samym załączku, doprowadza do sabotażu, niezrozumiałego co prawda dla regularnie płatnego urzędnika, ale zupełnie jasnego, ba koniecznego w oczach każdego społecznika, znającego życie owej „trzeciej Warszawy”.

Tak samo źle było ze stroną prawną zagadnienia. Nasze ustawodawstwo zakazuje zupełnie wyraźnie zapłaty w naturze. Prawda, na wsi dzierżawia się różne rzeczy za odrodek. Ale tam człowiek daje tę robotę w trakcie użytkowania, albo po zużyciu dzierżawionego przedmiotu (np. pastwisko). Inaczej się ma z odpracowywaniem obiadów. Robotnik ma dać tyle a tyle dniówek, które zostaną mu zapłacone w trzydziestu ratach w naturze, a więc w wartościach niewymiennych. Ba, jest jeszcze gorzej. Zyskuje on jedynie prawo do zjedzenia tego, co zarobił. Więc to co już bezwarunkowo zapracował, nie staje się jego bezwzględna własność. On niema prawa tego sprzedać! System wypłacania jest więc poprostu złośliwy i podpada pod sankcje karne do trzech miesięcy więzienia i 5000 zł. grzywny. Zasada nieodstępowności zaś zarobionej własności jest bezwarunkowo spreczna z kodeksem cywilnym i może być przez każdego bezrobotnego zaskarżona. Wygranie tego rodzaju procesu jest zupełnie pewne.

Są i dalsze uchybienia wobec kodeksu pracy. Odpracowujący nie zostaje nigdzie ubezpieczony. Nie należy mu się ani pomoc z ubezpieczeń społecznej, ani mu się wlicza przepracowany czas do emerytury — jednym słowem nie. A przecie nie jest to bagatela. Uzasadnienie powyższych decyzji powiada, że Fundusz Bezrobocia liczy na 32 tysiące dniówek miesięcznie. To tak, jakby dziennie pracowało 1300 osób. Gdzie się podzięją te pieniądze? I co na to powie Inspekcja pracy? Przecie znów popadamy w konflikt z ustawodawstwem karnym i bodaj, czy z tego konfliktu łatwo by nam było się wzwolnić, gdyby któryś z tych odpracowujących pięknego poranku wygrał główną wygraną na loterii państwowej i tak, dla zasady, zaskarżył kogo należało do sądu.

Ale czy wolno korzystać z umniejszenia nędzą i zależności tych ludzi?

Idźmy dalej. Bo przecie nie poruszyliśmy zupełnie wżędu niesłychanie ważnego — względu gospodarczego. Co przez tego rodzaju przeprowadzenie zasady czynimy z rynkiem pracy? Roboty publiczne mają do czynienia zatem z dwiema kategoriami ludzi: jedni pracują za normalną, acz bardzo niską, demoralizującą niską, dniówkę. Ci mają zatrudnienie ciałe.

Mają wszelkiego rodzaju ubezpieczenia, których koszt ponosi w określonej ustawą mierze i pracodawca. Pobierają wynagrodzenie w gotówce i w całości — co tydzień czy co dwa. I oto zjawia się druga kategoria robotników. Tych się nigdzie nie ubezpiecza. Kłopoty z wypłatą również odpada. Są oni zatem tańsi i wygodniejsi. Według dzisiejszych rachunków mają oni zająć miejsce 1300 robotników pełnoprawnych. Jeżeli zechcą zdobywać obiady dla większej ilości członków rodziny, ilość dniówek się zwiększy. I ten element pracujący nie za wynagrodzenie, tylko za obiady

pocznie powoli wypierać robotnika pełnoprawnego. Boć tu nie chodzi o roboty, jakie oni będą wykonywać, ale o ilość pieniędzy przeznaczonych na zatrudnienie.

Zła jest, zupełnie zła zasada gospodarcza obliczenia. Wygląda ono tak. Nie mamy pieniędzy na żywienie bezrobotnych, ale mamy na roboty. Część pieniędzy przeznaczonych na roboty wpłacimy na żywienie, a żywieni tą żywnością odpłacimy i zamiast im zapłacimy kuchniom. Przepraszam. Tak nie można. Budżet robot publicznych, nie może, poprostu nie wolno mu sprawy stawiać w ten sposób. Roboty publiczne zatrudniają ludzi. Dożywianie musi mieć osobny budżet i jeżeli mowa o odrodek, to ten odrodek musi być regulowany nie przez kogo innego, tylko przez ciała realizujące opiekę, a przynajmniej pod jaknajściślejszym ich nadzorem. Odpracowywanie dalej musi być skierowane ku rzeczom, służącym samym bezrobotnym, jak budowa parków sportowych dla nich, inwestycje w kuchniach i salach obiadowych dla bezrobotnych, zwożenie produktów, robienie łóżek, czyszczenie podwórzy biedoty miejskiej, podniesienie stanu sanitarnego stolicy. Robota nie może być oceniana dniówkowo, ale w postaci zadań przydzielanych pewnym grupom, zadań, których wypełnienie możnaby było rozkładać na czas dłuższy. Zasada musi być przyjęta bezwzględna, że porcje wegetacyjne nie mogą być odpracowywane, że odpracowywać można jedynie porcje, odżywiające człowieka w sposób wystarczający do podtrzymania sił.

Poprzestajemy na tych zupełnie ogólnikowych wskazówkach na razie, które jednak dowodzą, że sprawa ta wymaga bardzo dojrzałego i wszechstronnego opracowania. Materiały dla niej już są i to bardzo obficie. Są one w instytucjach, które zajmowały się nie tylko udzielaniem pomocy, ale i badaniem skutków stosowania tej czy innej pomocy. Sprawa ta obecnie jest opracowywana, jak nas informują, w Obywatelskim Komitecie.

Zatrudnienie

Wiosna w całej pełni. Od teoretycznych rozważań na temat możliwości zatrudnienia bezrobotnych przechodzimy do praktyki. Roboty publiczne ruszają. Tysiące ludzi — pracują. Cyfry mogą cieszyć.

Wybieramy się zatem obejrzeć ten przedmiot naszej radości. Idziemy na budowę, tak zwanej „autostrady”, a powiedzmy po polsku najzwyczajniej pod stołcem drogi na lotnisko. Szeroki pas robot ciągnie się od skrzyżowania ulic Raszyńskiej z Wawelską ku Okęciu.

Gromady ludzi z łopatami, kilofami stoją — leniwie przeczucząc ziemię, powoli, ospale ładują wózki, przesuszają je wolno. Tam i sam powstają jakaś trudność. Wykoleiła się wagonetka, trzeba zmienić szyny. Powstaje zator. Skupia się wokół gromada. Jedni pomagają, inni coś doradzają. Ten twierdzi jedno, inny go poprawia. Nadzorca stoi opodal i popija z butelki herbatę, oglądając się bacznie. Gdyby szedł ktoś z władzy, to pewno by przybiegł i poczał „zachęcać” ludzi do szybkiego „zlikwidowania” przeszkody. Tak — nadzorca jest człowiek ludzki...

Istotnie, Nadzorca jest człowiek ludzki — mó-

wimy bez cienia ironji. Ot — pośród tej grupy na którą teraz spoglądamy on jeden może jest jako tako zdrow i jako tako odżywiony. Ten, co podtrzymuje wózek, spadający z szyn, jakoś ostrożnie, zdaleka, jakby się bał powalać — to pewno woźny. Twarz wynudziła od głodu — odzież biedna. Ale wygolony starannie, czysty. Krok drepcący, drobny. Zestarlał w jakims biurze — Przez długi czas głodował, teraz mu dano łopatę, kazano pchać wózek. Nadzorca wie ponadto i jeszcze coś innego. że ten był woźny, czy portier tak jak i większość robotników przyszli na roboty na czczo, są głodni. I wie, że przez całą zimę, może i jesień a może i jeszcze dłużej żyli tylko tem co dostali w kuchniach dla bezrobotnych. Raz na dzień mieli zupę. Cóż tu zachęty jakoweś pomogą?

Widzę, jak człowiek molił się nad wyrwanym z ziemi, ogrodowej ziemi, po której ma przebiegać droga, badyła po kapuście. Obiema rękoma chwycił za kaczan — ciągnie. Czoło zroszone potem — wyciągnąć nie może. Pustą wagonetkę trzeba ruszyć z miejsca. Jeden nie poradzi, dwóch, trzech, czterech ledwie da radę.

Warto obejrzeć to jedyne w swoim rodzaju widowisko. Nieśmiała jest rzecz straszna. Nory piwniczne, jakoweś kojce, w których ludzie mieszkają po naszych przedmieściach, sprawiają przygnębiające wrażenie. Ale widok tych ruin ludzkich, tego wycieńczenia, jaki obserwujemy na robotach publicznych — to coś koszmarnego poprostu. Wiosna przyszła, roboty ruszyły — ale ludzie już nie są w stanie cieszyć się, radować — przychodzą z muzu z tępem pocuciem bezsiły. Nim słonce weszło — rosa oczy wyjada.

Z tem organizatorzy naszych robót publicznych nie policzyli się. Obserwując grupy robotników, zajętych tem czy innym, nie znaleźliśmy żadnej logiki w przydzielaniu tym lub innym takiej czy innej roboty. Człowiek, który przychodził był numerkiem zarejestrowanym, jako numer przyszedł, jako numer wziął łopatę. Nikt nie zbadał jego wycieńczenia, nikt nie zbadał jego sił. Nie zwązono go nawet. W tych warunkach roboty publiczne stają się pretekstem do dawania zapomóg i niewiele mają wspólnego z inwestowaniem kraju. W tych warunkach będą one tak drogie, pomimo minimalnych stawek płacy, że nigdy się nie zamortyzują. W tych warunkach — to jest wyrzucanie milionów. Ze stanowiska gospodarczego nieodzowna jest segregacja materiału ludzkiego. nieodzowne jest stawianie „właściwego człowieka na właściwym miejscu”. Niema racjonalnej organizacji pracy tam, gdzie się nie uwzględniła właściwości indywidualnych samego pracownika!

Ale to nie wszystko. Przyjrzyjmy się bliżej tym ludziom. Oni są nie tylko słabi, ale głodni. Zarabiają po trzy złote dziennie, z których są strącenia na świadczenia wszelkiego rodzaju. Jedni jeszcze nie doczekali wypłaty — ci co ją otrzymali... Boże Ty mój, czy mało jest dziur, które na gwałt trzeba zatkać! O tym jasnym pogodnym dniu głód tym ludziom kiszi skęca. I czy nie warto by było pomyśleć o tem, by jakaś kuchnia polowa dała im bodaj jakie takie śniadanie, żeby się choć jakąś ciepłą wodą nieco osłodzona, razowym chlebem pośiliłi, zanim wezmą łopatę w ręce. To groźne na jedno, ale skutek byłby poprostu natychmiastowy — skutek fizyczny, że człowiek jako tako był-

by przecież do tej roboty odżywiony (ha, konia by tak głodno nie posłano!) Skutek moralny — że nie czuł by się tak gruntownie opuszczony, poczuł by myśl o sobie. Powtarzamy koszt jest mały — storkrotnie się na wydajności pracy opłaci.

Nie mniej ważną rzeczą jest sprawa ubrania. Otóż każdy z nich przychodzi do ziemnych robót w ubraniu własnem. Kiedyś brano do tego celu coś najgorszego. Dziś to najgorsze — jest jedyne. Kiedyś kupował sobie robotnik trepy — dziś nie kupi nie może. Niszczy więc wszystko co ma i dostanie po całonocnej pracy 75 zł. w najlepszym wypadku. Powiadają, że się za to wraz z rodziną używi. Być może. Ale w żaden sposób nie kupi ani ubrania ani butów. Roboty publiczne dadzą mu przeżyć, ale też i zrujnują doszczętnie. Tak samo daje przeżyć lichwiarz. Ale niestety, nie można uznać za człowieka przewidującego takiego, który z usług lichwiarza korzysta. Otóż czy można dopuścić, aby upowszechniło się mniemanie, że niemożna uznać za człowieka przewidującego takiego, który na robotach publicznych zarobkuje?

I znów wysnuwa się postulat: tych ludzi trzeba zaopatrzyć w jakieś dreluchy i trepy. Trzeba stworzyć dla nich jakie takie warunki pracy. Wydatek tego rodzaju przy robotach, ciagnących się miesiącami nie jest niemożliwy. Pokrywa go parę dniówek a ze względów społecznych, ze względów gospodarczych jest on poprostu nieodzowny.

Została postawiona zasada, że roboty publiczne muszą być tanie. Możemy zgodzić się na tę konieczność. Tanić się przecie to jeszcze nie rabunkowa gospodarka. Tanić to nie brak organizacji.

Przemlekle małka o życie setki ludzi, rozbitków staroniego już dziś na cały śmiał „Czeluski-na” — to jeszcze jedna śmieszna karta dziejów zdobywania obszarów polarnych. Potężny łamacz lodów zatonał, zdruzgotany przez łamające się pola lodowe. Śmieszna organizacja i podziemu godna odmaga załogi, która się nie poddała popłochom i nieugięta mola dowódcy, prof. Szmidta sprawiły, że wszyscy ocaleli i oto powstał oboz na lodzie. Duch ofiary i poświęcenia, duch wytrwania pannał na tym obozie aż do końca. Dowódca uniał opanować depresję. Nie tylko przez cały czas utrzymywano łączność ze świątami, nie tylko rykontrywano prace dla utrzymania lotniska, ale wewnątrz obozu za pomocą wszelkiego rodzaju urozmaiceń dla setki ludzi, którzy przecie znajdowali się na krach lodowych, podtrzymywano samopoczucie i miarę.

Jednocześnie na lądzie rozlała pracę około organizacji myprany rabunkowej. Gromadziły się siły lotnicze, stworzono odpowiednie podstaroy operacyjne. Najznakomitsi lotnicy somieccy pchnięci zostali na północno wschodnie obszary Syberji. Doskonałe zorganizowana myprama zdolna na kilku samolotach przetransportować masztach na ląd. — Sam profesor Szmidt do ostatniej chwili czynny i czynny — w gorące kierował pierwszemi odlotami. Złożony chorobą, na kategoriyczny rozkaz musiał odlecieć przed końcem akcji ratowniczej. Ałoi odlatywał, rojąc, że w ciągu kilku godzin po nim w obozowisku nie zostanie ani jeden z rozbitków. 1

Walka stoczona około ziemi Wrangla — to triumf ludzkości całej.

TU, FELIX AUSTRIA...

Pogrom wiedeński ma w sobie coś, co nie pozwala sumieniu ludzkiemu przejść nad nim do porządku dziennego. Najznakomitsze pióra na świecie co raz nawracają do niego, co raz próbują znaleźć dlań jakieś nowe światło, zdać sobie sprawę z sensu tego wszystkiego. Bohaterstwo, okrucieństwo, męczeństwo, tyranja... Zapewne — wszystko to było — ale, bodaj że pod tem wszystkim tkwi coś jeszcze donioślejszego.

Boć przecie stał się tam jakiś absurd. Większość, doskonale wyćwiczona i uzbrojona, została pobita przez mniejszość, o wiele gorzej przygotowaną do walki. Miejsce ludzi, którzy tworzyli wartości kulturalne, zajęli politykierzy, zasobni jedynie w makulaturę odezwową i broszurkowe projekty pseudo - przebudowy. Ludzi, którzy przez szereg lat dowiedli, że pragną żyć w pokoju, że nie dążą nawet do opanowania władzy (choć niejednokrotnie sama ona szła im w ręce), zastąpili okrucinicy, dla których blichtr panowania przesłania całą resztę.

Ale i tego nie sposób przemilczeć, że im niżej byśmy próbowali szacować towarzystwo, skupione wokół kanclerza Dollfusa, im więcej byśmy jemu samemu ujęli — tem niklejsi staną się ci, co przed nim ustąpili, co zostali zwyciężeni i rozbiti doszczętnie. Mamy wrażenie, że niezupełnie dobrze ocenia to p. Deutsch, dowódca socjalistycznego Schutzbundu, który w broszurze swojej o walkach wiedeńskich suchej nitki na obecnych władcach Wiednia nie zostawia. Snać nie rozumie on, że zwycięstwo dla polityka (jak i dla żołnierza) to nie wygrana na loterii. Zwycięstwo — to obowiązek.

Pod sąd idzie kapitan, którego okręt zatonał. Przed sądem musi się tłumaczyć, czy nie zaniedbał jakichś możliwych środków ratunku, czy nie popełnił przeoczenia, które, nb. kosztuje zazwyczaj znacznie mniej ofiar, niż wypadki wiedeńskie. I przed tym sądem oskarżony, odmaluje całą potęgę przeciwności, bo w ich napięciu leży jego usprawiedliwienie. P. Deutsch nie idzie w ślady tego kapitana. Przyczynę klęski widzi w tem, że Schutzbund został przez masy wiedeńskie opuszczony.

I, mając w ręku to najbardziej autorytatywne wyznaczenie, każdy społecznik, który z podziwem spoglądał na prace Wiednia powojennego, który z zachwytem czytywał sprawozdania jego instytucyj, przeznaczonych dla podniesienia jednostki ludzkiej, który w tem wszystkim widział ucieleśnienie wielu własnych ideałów, winien naprawdę dojrzałej rozprawce poddać wnioski, które „nieśczęsna dola człowieka” — jak pisze p. Marja Dąbrowska w „Wiadomościach Literackich” — „nasuwają się intensywnie pod wpływem wstrząśnięć tragedji”. Te wnioski bowiem nietylko osąd winy stanowią, ale i wskazówkę.

Jeden rzut oka w przeszłość najbliższą wykaże nam, że nad Wiedniem zaciążyło przekleństwo — der Fluch der bösen Tat, jak mówi poeta. Austria z jej centralnem położeniem znalazła się po wojnie w zupełnie szczególnych warunkach. Zaledwie drobny skrawek dawnego terytorjum został przy wielkiej, rozrosłej stolicy. Ludność niemiecka tego szcignego zupełnie tworu dąży do pnia macierzystego, do połączenia się z Rzeszą. Dążenie

to przenika wszystkie warstwy narodu, żywe jest zarówno pośród nacjonalistów, jak i socjalistów. Przeszkodzić temu usiłują zwycięzcy, a przede wszystkim nowopowstałe, powojenne państwa. Austria pragnie wyzbyć się niepodległości — tę niepodległość narzucają jej z zewnątrz. Rozgrywa się w naszych oczach dziwne, zdumiewające widowisko. Austria udaje, że chętnie by niepodległość zachowała, ale nie ma na to — pieniędzy. Więc jej te pieniądze dają. Austria swoje „należuslowe” tendencje poprostu sprzedaje — za gotówkę — staje się utrzymanką swych wrogów. Tak czyni rząd i aby się ostać oddaje te łapówki ludowi. Wspaniałe zakłady opieki społecznej, całe olbrzymie dzielnice robotnicze o pięknych, nieomal zbytownie urządzonych mieszkaniach — to nie wynik własnej wewnętrznej pracy, organizacji, geniuszu gospodarczego — nie! To wszystko kuban, zapłacony za ideję polityczną, za rezygnację z dążeń narodowych, to owoc politycznego szantażu.

Oto jest atmosfera, jaka przesycała Wiedeń, przesycała Austrię. Śpieszyła się ona zagarnąć, jak najwięcej, zaopatrzyć się jak najobficiej, nie tracąc nb. nadziei, że przy najbliższych sposobności „orżnię” i tych którzy jej placą i przecie swoje zrobi. W jaki sposób wpływa to na psychikę ludzką, do jakiego stopnia tego rodzaju handel demoralizował człowieka — o to nikt nie pytał. A przecież właśnie ta „handlowa” polityka wyjątkowo masy austriackie. Zgubiły się one — zagubiły zupełnie i bez reszty. A za tem kardynalnym załamaniem od którego nie było wolne żadne stronnictwo w resztkach dawnego państwa Habsburgów, szły i dalsze. Socjalna demokracja austriacka, najpotężniejsza w kraju stronnictwo, stała przez całą czas na gruncie ściśle konstytucyjnym, na gruncie legalizmu i demokracji parlamentarnej. Tak twierdził jej mówcy, to znajdujemy we wszystkich jej pismach i wypowiedziach urzędowych. Nie raz i nie dwa razy hamowała ona, ku najwyższemu oburzeniu żywiołów bardziej skrajnych, zapędy rewolucyjne mas. Nie raz i nie dwa razy wchodziła w ciężkie kompromisy. Niejednokrotnie błagała o pozory kompromisu wtedy, kiedy z jej władzami nawet gadać nie chiano. „Towarzysze, nie dajcie się sprokować!”, jak sztydono, było naczelnym hasłem tego stronnictwa jeszcze przed wojną. W ostatniej wojnie, już powstaniowej odezwie, stwierdza, że broni tylko konstytucji, że wyrzeka się na razie myśli o przeobrażeniach społecznych i w całości uznaje zasadę własności prywatnej. To wszystko nie ulega wątpliwości, jak i fakt, że jednocześnie utrzymywała bojówkę partyjną, liczącą dziesiątki tysięcy ludzi, zbierała ją w karabiny maszynowe i środki wybuchowe, poddawała regularnemu szkoleniu wojskowemu na wypadek, gdy trzeba się będzie uciec do użycia siły. Pozostawiała sprawą nierozstrzygniętą, kiedy przyjdzie czas na tę ultima ratio. Można i gwałtem kić wiała rażąca sprzeczność. Można gotować wojnę, pragnąć pokoju, ale w takim razie już się tę wojnę uznaje. A demokracja parlamentarna wojnę wewnętrzną wyklucza. Wyklucza — bo karabiny naładowane w pewnej chwili same zaczynają strzelać. I w Wiedniu same strzelać zaczęły — zaczęły albo za późno, albo za wcześniej — w każdym razie nie w porę, jak się to zawsze zdarza

z faktami, rzuceniami na fałd przypadków.

Ostatni akt tragedii wiedeńskiej poprzedził więc długi okres handlu idealami, wojnę domową ze strony socjalnej demokracji poprzedził przewlekły czas defensywy ideowej nazwaną w kompromisach — na wewnątrz w tworzeniu sił, których sposób użycia nie był przez nikogo należycie uplanowany — wreszcie w walce wydanej Schutzbund znalazł się w defensywie militarnej, która zawsze sprowadza klęskę.

Przeciwko siłom lewicy stanął, jak powiada, ironicznie, używając modnego wyrażenia pani Marii Dąbrowskiej w swym artykule, „rząd autorytetu”. W tem leży cała tragedia, że bodaj czy p. Dolfuss jest naprawdę dla kogokolwiek autorytetem. Ten mały człowieczek jest bodaj że dla całego świata strasznie mały moralnie. Nawet odznaczenia za pogrom wiedeński omiłyły się na mikromilimetry mierzoną wielkość. Ani to Mussolini, ani nawet Hitler. To coś co wyróżniło się tem tylko, że szczerzej od innych umiało powiedzieć słowo „handel” i bezceniej od innych, otwarciiej prowadzić targi. I to coś poprostu wdarło się na miejsce, gdzie już poprzednio powstała pustka, gdzie stała ta sama treść zastępowano bluźnierczo słowem „idea”, gdzie istniało tylko pragnienie zachowanie już nie władzy nawet — tylko wpływów, a bodaj choćby cienia cieniów tych wpływów. Bo przecież budować domy, wznosić zakłady opiekuńcze, po trafią wszystkie stronnictwa. Ale też i dla wszystkich stanowi to rzecz poboczną — atut do wygrywania na innym polu, na polu politycznym, na polu walki o władzę.

Tylko właśnie to, co socjalna demokracja austriacka uważała za rzecz poboczną, owa wielka działalność, która zapewnić jej miała popularność wśród mas — to ją przeżyje. Wbrew opinii p. M. Dąbrowskiej to przeżwła i tego „rząd autorytetu” nie zdola zniszczyć. To są nabytki ludności Austrii, które pozostaną. Trzeba je utrzymywać — więc znaleźć się pieniądze na ich utrzymanie i na naprawę. To są głazy, a nie bańki mydlane słów. Można na tem wszystkim najwyżej sztydła przemałować. Trwałość im nadać — błogosławieństwo czynu dobrego, dla którego nawet „rząd autorytetów” nie jest groźny.

I dla tego ważymy się twierdzić, że nie „jasnowidztwo” podyktowało pani Dąbrowskiej ostrzeżenie przed „autorytetami”, ale nadmierna wiara w słowa, wiara, że istota rzeczy może się zmienić wraz ze zmianą nazwy. W rozwoju społeczeństw większa zaiste mają wagę faktów, niż zrzeczenia, które je firmują. Tu nie zezdajemy się ze Znakomita Pisarka i z jej pięknym, pełnym głębokich myśli i wspaniałego współczucia artykułem. W Austrii naszym zdaniem zwycięstwo Dolfussa zmieniła bardzo mało. I tem potworniejsza jest cena, jaką za to zapłacono. Zmiana nastąpi dopiero wtedy, gdy stare przykazanie tu, Austria nuba (nuba dziś się tłumaczy: szachruj) przestanie tam obowiązywać.

A teraz sam sens spraw. Wspaniałe urządzenie społeczne nie przekupiły ludności Austrii, nie przywiązały jej ani do socjalnej demokracji, ani

do Schutzbundu, ani do niepodległości. To fakt. Samego gmachu, kompleksu budowlanego Karola Marksa broniło tylko osiem ludzi. Dzieł opieki społecznej, pracy społecznej nie tylko nie wolno, ale i niemożna zapisywać na dobro polityczne. Nie da się ona na tem polu zdyskontować. Dzieła pracy społecznej muszą być — bezinteresowne. Ludność przyjmuje je jako coś jej słusznego i niezbędnego — nie dar obowiązujący, do wdzięczności.

To jest bardzo wielka nauka — dla nas i dla wszystkich. Jeżeli nawet polityka wejdzie pomiędzy człowieka a Państwo dla niego pracujące — to wycisną ją stamtąd wypalki pomimo wszystkich usiłowań, pomimo największych starań. Twórcą wszystkiego, z czego obywatel korzysta zawsze w jego oczach zostanie całość reprezentowanej przez państwo — ową abstrakcję bezosobową — nie przez odłamy jego obywateli.

WYDAWNICTWA.

Dr. med. Józef Jakóbkiewicz: „Z epidemiologii dżumy” str. 35. Państwowy Zakład Higieny. Warszawa 1934.

Obie te niewielkie książeczki wybitnego znawcy tego tematu nabierają dla nas wysokiej aktualności, gdyż port polski może łatwo służyć do importu tej straszliwej zarazy. To też w jednym z najbliższych numerów poświęcimy im nieco szersze omówienie.

Broszury dra Jakóbowicza są bardzo ciekawe i zalecić je należy każdemu kto sprawą naszego morza chce się zająć poważnie.

Maria Dąbrowska: „Uśmiech dzieciństwa” Wspomnienia str. 136. Wydanie drugie. Warszawa 1934. T-wo Wydawnicze w Warszawie.

W rzeczach Dąbrowskiej jest coś inestetycznego szlachetnego, czystego — jest nawet w przedmiotowym jej opisie jakaś siła wznosząca. Do książki tej niebawem wrócimy.

Wojciech Bąk: „Brzemie niebieskie” str. 116. Warszawa 1934 Wydawnictwo J. Mordkowicza.

Jeszcze jeden tom pięknej poezji — szukającej — Boga — modlitewnej. Sprawozdanie później.

W. Katajew: „Npóród ciaseł!” Przełożał dr. J. P. Zajczkowski. str. 296 Warszawa 1934: Wydawnictwo Rój.

Interesujące problemy twórczości przemysłowej i socjalnej w nowym życiu sowieckim, jakie podnosi ta, jedna z najcenniejszych powieści Rosji współczesnej omówimy w jednym z następnych numerów.

W. J. Locke: „Chwalec bałwanów”. Przełożyła Ludwika Ciechanowska. str. 265. Wydawnictwo Rój.

To jedna z prób podejścia do etycznej strony zagadnienia rasizmu. Zajmiemy się niebawem zagadnieniem jak daleko postąpiłmy naprzód w tej dziedzinie od „Chaty za wsią” Kraszewskiego.

Helena Witkiewicz - Mokrzycka: „Syndykalizm francuski i jego znaczenie społeczne”. Zeszyt I ABC syndykalizmu str. 28. Warszawa 1934.

Jest to pierwszy rozdział właściwie książeczki o syndykalizmie. Dla czego został wydany osobno? Przekonamy się po wyjściu całości.

Tadeusz Zieliński: Religia Rzeczypospolitej rzymskiej. Część I str. 382 (wyszła w r. 1933) i Część II str. 450. Warszawa 1934. Wydawnictwo J. Mordkowicza.

Kapitałemu temu dziełu znakomitego uczonego poświęcamy szerokie omówienie.